NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 29 kwietnia 1905 r. Nr. 18.

Trzy trupy w kufrze.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Od Administracyi.

Z dniem 1-go kwietnia Redakcya i Administracya naszego pisma przeniesioną została na ul. Zacisze L. 7, 1 piętro.

Trzy trupy w kufrze.

Stolice i wielkie miasta mają, że się tak wyrazimy – podwójne fizyonomie. Przepych, elegancya i komfort — olbrzymie gmachy, wspaniałe pałace, teatry — a na tle tych dekoracyi tłumy rozbawionej, wytwornej publiczności, której zadaniem jedynie używanie i zabijanie czasu. Oto pierwsza, niejako „odświętna“ fizyonomia przeciętnej stolicy. Przypatrzmy się jednak drugiej: Wązkie, ciemne uliczki i zaułki, pozbawione prawie zupełnie światła i powietrza — brud, zgnilizna i zaduch. Spelunki, szynkownie — podejrzane damy — a wśród tego otoczenia snują się smutne, wynędzniałe indywidua, w poszukiwaniu taniego zarobku, sprzedające swój honor i sumienie każdemu, kto towaru tego zapotrzebuje. To dzielnice najuboższych warstw, jak je trafnie *Lumpen-proletaryatem* niemiec nazywa. Tu wylęgają się najpotworniejsze zbrodnie — tu występek i nędza podały sobie ręce. W wielkich miastach są istotnie dzielnice, do których nawet policya nie dociera, nad którymi kontrola jest poprostu niemożliwą. Oddalone takie przedmieścia są poprostu zbiorowiskiem wszystkich brudów, ściekiem najgorszych mętów społecznych. Niema dnia, żeby dzienniki nie donosiły o strasznych zbrodniach, dokonywanych w tych zakazanych stronach. Smutniejszem jest o wiele, że zbrodniarzy z zamiłowania i powołania znaleźć można również i w eleganckich pałacach arystokracyi i w skromnych, schludnych domach mieszczańskich. O potwornej zbrodni donosi nam nasz korespondent londyński.

W Londynie żyło pewne małżeństwo, mogące drugim służyć za prawdziwy wzór zgody, miłości i rodzinnej harmonii. Pan Devereux był aptekarzem, człowiekiem biegłym i uzdolnionym w swym fachu. Posiadał on prześliczną, młodą żonę i troje dziatek, z których dwoje młodszych było bliźniętami, liczącemi zaledwie półtora roku życia.

Pewnego dnia zgłosił się aptekarz do jednego ze składów do przechowywania mebli i powierzył właścicielowi olbrzymi kufer. Kufer ten — jak podawał — miał zawierać rzekomo cenne dokumenta familijne i preparaty chemiczne. Interesant zapłacił należytość i nie zostawiwszy swego adresu — ulotnił się. W niedługi czas zjawiła się w tym samym zakładzie niejaka pani Gragoin. Kobieta robiła wrażenie bardzo przygnębionej i zmieszanej. Drżącym głosem zapytała, czy właściciel składu nie zna adresu p. Devereux'a, który jest jej zięciem. Zapytany oświadczył, że nie jest w stanie podać jego miejsca zamieszkania — jest natomiast w posiadaniu kufra, który tenże powierzył mu w przechowanie.

Biedna kobieta wydała przerażający krzyk.

— To on, on zamordował moją córkę i dzieci... W tym kufrze zagrzebane ich trupy!..

Meblarz osłupiał i w tej chwili posłał po policyę. Zabrano się do otwarcia okutego starannie, tajemniczego kufra. Podniesiono wreszcie wieko i w kufrze ukazała się warstwa niegaszonego wapna. Po jej usunięciu znaleziono rozpostarte prześcieradło i powtórną warstwę wapna, aż wreszcie straszny widok ukazał się oczom przytomnych: Na dnie kufra leżały w pół zgięte i związane zwłoki kobiety, a po obu jej stronach dwa trupy dziecięce. Zbrodniarz nasypał wapna celem usunięcia woni z rozkładających się trupów. Nieszczęśliwe ofiary zostały otrute arszenikiem, jak to niebawem skonstatowano. Rozesłano natychmiast ajentów i listy gończe w pościgu za łotrem. Na rezultat nie czekano długo. W miasteczku Coventy przyaresztowano wyrodka społeczeństwa, w chwili, gdy najspokojniej pracował w swojem laboratoryum aptecznem. Nie wypierał się on wcale winy—odmówił jednak wszelkich wyjaśnień, odkładając je do rozprawy. Jest uzasadnione podejrzenie, że zbrodniarz działał w przystępie obłąkania, chociaż dotychczas nie zdradził najmniejszej anormalności umysłowej. Równowagę umysłu nieszczęśliwego, zwichnęła zdaje się troska o byt materyalny — zwiększającej się z roku na rok rodziny.



„Emaus“: Tłumy publiczności przed klasztorem PP. Norbertanek.

„Emaus“

Przedmieścia krakowskie słyną poetycznemi legendami i podaniami. Wśród nich prym trzyma Półwsie zwierzynieckie. Mamy tam nawet historyczne pamiątki i zabytki, jak np. pałacyk myśliwski Kazimierza Wielkiego, kościółek pod wezwaniem św. Salwatora, nie mówiąc już o jednym z najstarszych klasztorów w Polsce, jakim jest klasztor PP. Norbertanek nad Wisłą. Z kościółkiem św. Salwatora na Zwierzyńcu łączy się piękny obchód „Emausu“, obchodzony w drugie święto Wielkanocy. Wtedy cała okolica zwierzyniecka aż hen pod klasztor zapełnia się straganami i kramami. Tu można dostać pierników i cukierków i tanich, a nie pozbawionych pewnego rodzaju artyzmu wyrobów glinianych i tysiące drobiazgów uwzględniających zmysł smaku i wzroku.

Pobożne tłumy dążą ku kościółkowi św. Salwatora, gdzie rok rocznie w dniu tym Msza święta bywa odprawianą. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, jaka w chrześciańskim świecie łączy się pamiątka z ową pielgrzymką.

Owóż Chrystus, który w nieśmiertelnej Boskiej Swej chwale skruszył pęta grobowe, by żywym ukazać się światu, spotkał po drodze, około Jeruzalem, w miejscowości Emaus dwóch uczniów swoich: Józefa i Marka. Ujrzawszy — jak sądzili — widmo Boga swojego — upadli na twarze, nie śmiejąc oczu podnieść na światłość, która biła z Jego oblicza. Onieśmielonych podniósł Chrystus ręką Swoją i umocnił ich w wierze, że Bóstwo Jego jest nieśmiertelne.

Na pamiątkę tego spotkania, święci pobożny Kraków ów piękny obchód. Nie brak oczywiście i wesołych epizodów w tej podmiejskiej pielgrzymce. Od czegóż karuzele kręcące się przy skrzypliwym dźwięku katarynek i owe stragany z piernikami i szyneczki podmiejskie — zapchane literalnie tłoczącą się publicznością?

Ludowe obchody krakowskie mają zawsze prawie tło religijne, a „Emaus“ to jeden z najpiękniejszych starodawnych zwyczajów, dający chlubną miarę publiczności i bujnej poetyckiej fantazyi podmiejskiego ludu krakowskiego...



„Emaus“: Kramy na Półwsiu Zwierzynieckiem, otwierane corocznie w święta Wielkiej Nocy.

„Rękawka“

Cały świat wierzeń pogańskich bóstwami, zapełniającymi poświęcane gaje i puszcze, z boginkami, pluskającemi się przy blasku księżyca w nurtach rzek słowiańskich, z dobrymi i złymi duchami — cały ten piękny świat, wyśniony w poetycznej duszy słowianina — ustąpić musiał

wyższej, wyrafinowanej kulturze Zachodu, której pierwszym wyrazem było — chrześciaństwo. Za Mieczysława I i następcy jego Bolesława I padały pod ręką niemieckich mnichów statuy i wyobrażenia bogów ludowych, a na ich miejsce wznoszono godło cierpienia — krzyż. Wycinano święte gaje, a na karczowisku stawiano drewniane kościółki, gdzie zdumiony poganin słuchał słów nowych kapłanów o Bogu, który jest samą miłością i przebaczeniem. Ale zakorzenione wierzenia nie łatwo wydrzeć z serca. Lud buntował się i w obronie dawnych swych ołtarzy, kładł ochotnie życie swe w ofierze. Mądrzy kierownicy Kościoła zroumieli też rychło, że, chcąc utrwalić nową wiarę — należy pogodzić stare słowiańskie przesądy ludowe z chrześcijańskim rytuałem. Ułożono więc w ten sposób kalendarz, by wielkie święta chrześcijańskie przypadały w rocznicę narodowych pogańskich uroczystości. Wianki — łączące się z wspomnieniem prześlicznej królowej Wandy, która nie chciała kochać „obcego młodzieńca", wypadły więc na dzień św. Jana. Rękawka — symboliczny obchód, święcony na mogile księcia Kraka — przypadł na Wielkanoc.

Przypatrzmy się temu ostatniemu obchodowi. Od niepamiętnych czasów puste i wyludnione pagórki Krzemionek przybierają na Wielkanoc ożywioną, niezwykłą fizyonomię. Tłumy zalegają te strony, tłumy rozbawione, żądne taniej uciechy i wrażeń. W porozkładanych kramach nabywają ludzie chleb, obwarzanki i jaja, by potem z głośnym śmiechem rzucać je z góry — na głowy głodnych biedaków. Zwyczaj ten został w ostatnich latach zmodyfikowany.

Produkta spożywcze, nabywane w straganach, bywają obecnie rozdawane między ubogich. Chrześcijańskie miłosierdzie znalazło inną, o wiele szlachetniejszą formę. Chleb, rzucany w twarz biedaka nie jest dobroczynną jałmużną, a raczej upokorzeniem i krwawą obelgą. By zastąpić jednak „uciechę" i dać niejako rekompensatę wesołemu ludowi — obmyślono inne „hece". Gra więc orkiestra — rozlega się krzykliwe echo katarynek, wygrywających ludowe melodye. Są nawet na modę warszawską urządzone słupy do wspinania. Słup taki namydlony jest rodzajem zawodowej gimnastyki. Odważnego człowieka, który potrafi dostać się aż na sam szczyt — czeka wspaniała nagroda: Na wierzchu znajduje on zegarek srebrny, czarne ubranie i całych 10 koron. Niemała rozkosz dla biedaków, złaknionych pieniędzy i lepszej przyodziewy!

I dla pobożnych pątników jest stacya, gdzie mogą ducha i serce ukorzyć. Na pogórzu Krzemionek stoi stary kościółek, raz na rok otwierany — właśnie w dzień obchodu „rękawki".

Uzupełniające artykulik — ryciny nasze przedstawiają: kościółek u stóp Krzemionek, publiczność kupującą w straganach strawę dla biedaków i wspinanie się po słupie odważnego rycerza, reflektującego na czarny surdut i srebrny zegarek.



„Rękawka": Scena wspinania się chłopaków na wysoki słup po nagrodę.



Hrabia Lambsdorf ustępuje: Rosyjski minister spraw zewnętrznych hr. Lambsdorf.

Hr. Lambsdorf ustępuje.

Charakterystycznym dla rządu rosyjskiego jest fakt, że najważniejsze urzędy piastują w nim Niemcy, a przynajmniej ludzie z niemieckimi nazwiskami. I na polu wojny, w Mandżuryi, najdzielniejsi generałowie rosyjscy są, sądząc z nazwiska, albo do dziśdnia Niemcami, albo się niedawno zmoskwicili. Może oni mówią i czują już po rosyjsku, ale, w polityce zwłaszcza, są to nieodrodni potomkowie żelaznego księcia, którzy tradycyę jego rządów, tradycyę gwałtu i ucisku nad uciemiężonymi ludami, w godny pielęgnują sposób.

Ster polityki zagranicznej w Rosyi od lat kilku dzierży również człowiek, który nietylko z nazwiska, ale i z czynów jest bezsprzecznie Niemcem. Mówimy o hr. Lambsdorfie. Jego to chytrej, lisiej polityce zawdzięcza Rosya, że udało jej się zawrzeć z Francyą przymierze, które cały świat przejęło zdziwieniem, gdy je zawierano, ale z którego Rosya od roku już w kolosalny sposób korzysta. Od czasu wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, zaciągała Rosya milionowe pożyczki we Francyi, a zaciągała je nawet wtedy, kiedy już znikąd pieniędzy wydostać nie mogła, kiedy jej nawet w kraju własnym odmówiono zrealizowania pożyczki. Sojusz Rosyi z Francyą, możemy to śmiało powiedzieć, przyczynił się w znacznej mierze do tego, że wojna, mimo ustawicznych klęsk Rosyi na lądzie i na morzu, do dziśdnia jeszcze nie została ukończona. I wyprawę Rożdiestwieńskiego na Daleki Wschód, wyprawę, która ma na celu utrzymanie *prestige* Rosyi na wodach Oceanu Spokojnego, musimy przypisać jedynie sojuszowi Francyi i Rosyi. Gdyby nie ten sojusz, to, pominąwszy już trudności finansowe, w jakich by się Rosya znalazła, gdyby go nie było, nie mógłby rząd rosyjski marzyć o wysłaniu eskadry bałtyckiej na Wschód. Wszakżeż Rożdiestwieński ciągle prawie zatrzymywał się w portach francuskich, że wspomnimy tylko Nessi Be, a ostatnio cieśninę Camran, gdzie, wbrew postanowieniom o neutralności, Rożdiestwieński zatrzymał się całą dobę, co wywołało w Japonii i w całym świecie zresztą, zupełnie słuszne oburzenie. Fakt ten zawdzięcza Rosya jedynie sojuszowi z Francyą. A właśnie ten sojusz był w znacznej mierze dziełem hr. Lambsdorfa, jako ministra spraw zewnętrznych w Rosyi. Dzięki temu pozyskał hr. Lambsdorf olbrzymi wpływ na dworze rosyjskim, wpływ, który dopiero w tym roku znacznie osłabł. Przyczyną tego było nierozważne, bądź co bądź, rozpoczęcie wojny z Japonią, do której hr. Lambsdorf nie powinien był dopuścić; wojna, w całem tego słowa znaczeniu, zaborcza, niepopularna, doprowadziła Rosyę do stanu anarchii, w jakiej dziś się znajduje, podkopała powagę rządu, a raczej rząd sam ją podkopał, występując z karabinami przeciw tłumom, żądającym praw człowieka i zakończenia wojny, wznieciła w całej Rosyi zarzewie rewolucyi. To podkopało znaczenie i wpływy hr. Lambsdorfa, który widział się zmuszonym podać się do dymisyi. Jak słychać, hr. Lambsdorf w tych dniach ustępuje.

Powyżej podajemy portret hr. Lambsdorfa.



„Rękawka": Publiczność na Krzemionkach, zaopatrująca się u przekupniów w łakocie dla biednych.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

30 (Ciąg dalszy).

Gdy wymawiała powyższe wyrazy, dzwonek, widocznie silnie szarpnięty, zatętnił głośno w przedpokoju.

— To on! — zawołała Eugenia, rzucając pełne niepokoju spojrzenie na Kazimierza. — Więc pozostajesz?

— Tak, Geniu, pozostaję.

— Ja zaś spieszę go uprzedzić o twojem przybyciu, bo gdyby nagle cię zobaczył, doznałby zbyt gwałtownego wzruszenia.

Wybiegła. On pozostał i słuchał odgłosu jej kroków, jakiemi mknęła po grubych dywanach korytarza. Słyszał następnie, jak mówiła z ojcem słodkim i harmonijnym, chociaż drżącym głosem. Upłynęło kilka minut oczekiwania, które Kazimierzowi wydawały się wiekiem.

Piotr Molski wszedł nareszcie do pracowni.

Ani syn, ani ojciec nie przemówili do siebie ani słówka, patrzyli tylko jeden na drugiego wytężonym wzrokiem. Kazimierz z boleścią zauważył, jak strasznie rodzic jego się zmienił. Upłynione lat osiem wyryły na jego twarzy ślady i znamiona zgrzybiałej starości. Barki mu się zgarbiły, czoło poorało głębokiemi zmarszczkami, włosy zbielały zupełnie. Na obliczu malował się bezgraniczny smutek.

— To ty! — szepnął po chwili i naraz zamikł, potykając się, jak pijany, chwiejnym krokiem doszedł do krzesła, stojącego przed kioskiem i upadł na nie. Głowę pochylił na piersi i jęknął znowu: — To ty!

— Tak, to ja ojcze. Czy mnie potępisz za śmiałość, z jaką, po tak długiem niewidzeniu się naszem, przyszedłem do ciebie, żeby ręce twe ucałować i pochylić się do twoich kolan z pokorą?

— To ty! to ty! — powtarzał sędzia, podnosząc zmęczone, krwią nabiegłe oczy na syna. — W ciągu ośmiu lat nie pomyślałeś o nas... ani o mnie, ani o siostrze... nie pisywałeś do nas, ani się zgłaszałeś... więc coś niezwykle ważnego stać się musiało w twojem życiu, jeśli zjawiasz się teraz niespodzianie. Może żona cię porzuciła! Stałość nie jest cnotą jej rasy i rodziny. Powiedz zatem szczerze, czy ona cię opuszcza, czy też ty nareszcie uprzykrzyłeś ją sobie?

— Ani jedno, ani drugie. Powróciłem do Warszawy przed tygodniem, a dziś po raz pierwszy wyszedłem na miasto. Serce kierowało mojemi krokami, więc zwróciłem się ku domowi, w którym się urodziłem i w którym mieszkasz ty, ojcze, wraz z moją siostrą. Stanąwszy przed bramą, nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia was...

— Po ośmioletniej nieobecności!

— Papo kochany...

— Nie zapomnę nigdy, żeś nas opuścił,' aby polecieć za kobietą, która cię zgubiła i zbezcześciła. Bo przyznaj, że jesteś teraz człowiekiem bez zajęcia i stanowiska, utrzymywanym przez bezczelną ladacznicę... Czy ktokolwiek zna źródło jej majątku? Czy opinia publiczna wie, w jaki sposób się wzbogaciła i skąd bierze pieniądze, któremi napełnia twoje kieszenie, abyś je trwonił bez skrupułów i wyrzutów sumienia!

Kazimierz zatrząsł się cały. Cera jego twarzy przybrała barwę woskowej bladości.

— Jesteś ojcze okrutny i niesprawiedliwy! — zawołał, podnosząc głowę. Mówisz o rzeczach, o których nawet tobie mówić nie wolno, bo dotyczą osobiście tylko mnie i pani Molskiej...

— Zabraniam ci zwać w mojej obecności tę kobietę panią Molską. Mojem uczciwem nazwiskiem nie okrywaj nędznicy! Czy słyszysz?.. Zabraniam ci! zabraniam!

— Ojcze!

— Zdeptałeś nasz honor, poślubiając istotę nikczemną, która stała się nieszczęściem i zakałą naszą. Wbrew mojej woli dałeś jej moje nazwisko; wbrew mojej woli uczyniłeś ją dozgonną towarzyszką swoją! Być może, iż żałujesz szaleństwa, jakie popełniłeś... ale, niestety, żałujesz za późno!

— Niczego nie żałuję! Co się stało, stać się musiało. Jeśli popełniłem szaleństwo, sam za nie odpokutuję i ja tylko jeden poniosę na moich barkach cały ciężar nieszczęść, spotkać mnie mających.

— Dobrze!... Czy nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

— Nic, ojcze.

— W takim razie, odejdź! — i ręką wskazał drzwi synowi.

Kazimierz wybiegł z pracowni.

Minąwszy dwa podwórza, wyszedł na Długą. Bezwiednie i nieprzytomnie, z głową pałającą i sercem, bijącem gwałtownie w łonie, zawrócił na prawo w ulicę Miodową, a potem przez Kozią, wysunął się na Krakowskie-Przedmieście, nie wiedząc co czyni i dokąd idzie. Weranda cukierni Loursa zatrzymała go. Usiadł przy jednym z pustych stolików i kazał sobie podać perbaty.

Przy drugim stole siedziało dwóch panów, przyzwoicie, chociaż nie wykwintnie, ubranych. Jeden z nich zaczął mu się bacznie przyglądać. Lecz Kazimierz, pogrążony w bolesnem zadumaniu, nie zwrócił na to uwagi.

Byli to znani tajni agenci: Piperstein i Maślak, którym dziś policyjna władza zwierzchnicza poleciła czuwać na Krakowskiem-Przedmieściu. Przenosili się więc z cukierni do cukierni, przysłuchując się rozmowom, zwłaszcza prowadzonym cicho, lub półgłosem. Pierwszy poznał w Kazimierzu syna sędziego śledczego, którego się obawiał, lecz dla którego również miał wielki respekt.

— Powrócił! — rzekł, nachylając się do ucha kolegi.

— Kto?

— Spójrz na sąsiada po prawej stronie... na tego bladego panka.

— Adwokat, Kazimierz Molski! — odparł Maślak.

— Poznajesz go?

— Nie ulega wątpliwości, że to on.

— Powrót jego mnie dziwi.

— Dla czego?

— Hm! hm!

— Podróżował podobno długo, więc znudził się podróżowaniem... no! i wrócił do Warszawy.

— Żeby się dać przycapić, bo kto wie, czy ja go... wraz z jego hrabiną... nie oddam w ręce sprawiedliwości.

Maślak wzruszył ramionami.

— Uparta z ciebie bestya! Powiadam ci, pozostaw ich w spokoju. Są sprawy, w które lepiej nosa nie wtykać, a do nich należy sprawa zamordowania Jelskiego. Zbyt małemi jesteśmy figurkami wobec tylu matadorów w nią wplątanych, żebyśmy mogli wywołać rewizyę procesu. Poruszyłaby ona w dodatku ogół mieszkańców na dzisiejsze sądownictwo, z którem, nam szczególnie, żartować nie wolno. Nigdy nie staraj się brać za bary z silniejszymi od siebie... a chyba rozumiesz, że panowie sędziowie silniejszymi są od ciebie!

— Podłe nasze rzemiosło!

— Nie przeczę, lecz co na to poradzisz? Człowiek żyć przecie musi!

— Mów co chcesz, a jednak mam wielką ochotę śledzić ptaszka. Gdyby mi się udało wykryć prawdę...

— Nie wykryjesz! nie wykryjesz! a sam się skompromitujesz!

Mówili po cichu, a turkot powozów i dorożek głuszył ich rozmowę.

Kazimierz nie ruszał się z miejsca. Siedział w cieniu, pod wiotką ścianką z bluszczu, pnącego się po drewnianych kratkach werandy, przed niewypróżnioną szklanką herbaty, zwrócony ku ulicy, chociaż nie zważał wcale na wrący życiem ruch uliczny. Myśl jego leciała nieustannie na ulicę Długą, do starego domu, w którym przyszedł na świat, a do którego może już nigdy wejść mu nie będzie wolno. Dzisiejsze usiłowanie przebłagania ojca, spełzło na niczem. Rodzic go niemal wypędził, nie dając choćby cienia nadziei, że zmieni kiedykolwiek swoje postanowienie. Rozumiał, że z tej strony wszystko dla niego skończone. Piotr Molski nie chciał zapomnieć — tylko Eugenia mu przebaczyła.

Czy oburzać się miał prawo? Nie. Wszakże ośm lat z rzędu nie dawał znaku życia; nie pisywał do siostry, ani do ojca; wszakże poślubił kobietę, którą mu ten poślubić zabronił.

Powstał z miejsca, znużony rozmyślaniem, zawołał chłopca, zapłacił za herbatę, której nie wypił i wsiadł do stojącej przed cukiernią dorożki.

Piperstein, nie namyślając się, pożegnał skinieniem ręki Maślaka — i wskoczył do drugiej, szepcząc do ucha woźnicy:

— Jedź za tamtą!

Oba wehikuły ruszyły z miejsca niemal razem.

W pół godziny potem pierwsza dorożka zatrzymała się na bocznej, poprzecznej drodze, łączącej Aleje Ujazdowskie z placem przedrogatkowym, u wylotu ulicy Marszałkowskiej. Kazimierz z niej wyskoczył i wszedł do świeżo widocznie wzniesionego, ładnego pałacyku.

O kilka kroków dalej, na znak, dany przez Pipersteina, wstrzymał konie drugi dorożkarz. Ajent wysiadł i zapłacił woźnicę, poczem przechadzać się zaczął przed willą, którą sam sobie otworzył kluczem, wyjętym z kieszeni.

— Szykowna rezydencya! całkiem szykowna! — mruczał pod nosem szpicel. — Przypuszczam, że ex-hrabina musiała ją nabyć niedawno, za pośrednictwem swego adwokata... Nawet coś czytałem o tem w gazetach.

Przez okna od ulicy, hermetycznie zamknięte żelaznemi okiennicami, dostrzedz nie można było co się dzieje wewnątrz, lecz Piperstein, nie bity w ciemię, domyślił się odrazu, że okna w podwórzowym froncie muszą być jeszcze otwarte. Ostrożnie przelazł przez niski parkan sąsiedniej posesyi, jeszcze nie zabudowanej — i znalazł się w ładnym, ze smakiem urządzonym ogrodzie, z gęstymi klombami drzew i krzewów, altaną, ławkami i parterami kwiatów. W rzeczy samej spostrzegł zaraz wielkie weneckie okno, wychodzące na ogród, nie zasłonięte ani firanką, ani storą, nadto szeroko rozwarte. Za niem, w jasnem oświetleniu dwóch lamp, stojących na marmurowym kominku, widać było obszerny pokój, obity jedwabną materyą i wytwornie umeblowany, w którym na niskim, pluszowym fotelu, siedziała piękna kobieta, pogrążona w głębokiem zamyśleniu.

Była to Marcelina, oczekująca na męża. Od czasu, jak przyjechała do Warszawy i natychmiast po przybyciu wniosła się do tego pałacyku, nabytego i urządzonego z wielkopańskim przepychem przez jej pełnomocnika, nigdy jeszcze tak długo nie była samą.

Kazimierz wszedł nareszcie.

Oczy Marceliny napełniły się gorzkiemi wyrzutami, wyrzutów tych jednakże, nie wypowiedziały jej usta. Z głową, opartą o miękką poręcz fotelu, z przymkniętemi powiekami i rękami, skrzyżowanemi na kolanach, nie ruszyła się z miejsca.

— Dlaczego nie położyłaś się spać? — zapytał Kazimierz. — Gdy się spóźniam, nie powinnaś na mnie czekać tak długo.

— Nie czekałam na ciebie wcale — odparła powstając i odrzucając na bok pukle włosów, spadające jej na czoło. — Od dwóch lat przyzwyczaiłam się do twoich nocnych wycieczek i nic już sobie z nich nie robię!

— O, nowa scena zazdrości! — rzekł młody człowiek, zapalając papierosa. — Chyba wiesz, jak niemi się brzydzę.

— Od pobrania się naszego upłynęło lat siedm — mówiła Marcelina cichym i drżącym głosem — a siedm lat, to przecie wieczność dla ludzi, którzy się nie kochają. Ty zaś mnie nie kochasz... rzecz wiadoma!... Od dnia, w którym ksiądz związał ręce nasze stułą, czyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, żeby mnie zmusić do poddania się i uległości. Stałam się twoją niewolnicą. — I uśmiechając się ironicznie, dodała: — A nie łatwo było zgnieść mnie i zdruzgotać.

— Proszę cię...

— Wiesz dobrze, że zazdrosną nie jestem i że chętnie pozwalam ci wieść życie, jakie ci się podoba. Nie zatrzymuję cię, gdy wychodzisz... i nigdy jeszcze nie wyraziłam zamiaru towarzyszenia ci w twoich nocnych wędrówkach. Siedzę cicho u siebie, strzegąc domowego ogniska, myśląc tylko o tem, co mogłoby sprawić ci przyjemność. Mieszkanie nasze uczyniłam ponętnem i miłem, gromadząc w niem dzieła sztuki naszych najznakomitszych polskich artystów. Gdzie rzucisz okiem, wzrok twój spocząć musi na utworze prawdziwie pięknym, lub interesującym swoją kunsztownością. Pojmujesz, że w tym celu pełnemi garściami sypałam złoto na prawo i lewo... Nigdy i w niczem ci się nie sprzeciwiałam i nie sprzeciwiam. Chciałeś powrócić do kraju... wróciliśmy! Każde twoje życzenie w lot bywa spełnione... Otóż wszystko, co robię, żeby uprzejemnić ci życie, budzi w umyśle twoim przekonanie, że jestem zazdrosną, że całem dążeniem mojem jest utrzymać cię u stóp moich. Ależ nie! nie jestem zazdrosną — mówiła z gorączkowem rozdrażnieniem, a oczy jej ciskały błyskawice — nie jestem zazdrosną i nigdy nią nie będę, bo przecież to nie miłość łączy ciebie ze mną, lecz zbrodnia, która nieskruszonym łańcuchem skuła serca nasze i ręce. Dokąd się udasz i ja pójść muszę za tobą, dźwigając wspólne kajdany. Oto nasza bolesna dola! oto hańbiąca nas przyszłość! A ty sądzisz, żem zazdrosna... ha! ha! ha! — śmiała się gorzkim, nerwowym, męczącym śmiechem — ja, zazdrosna?.. Broń Boże!

Śmiech jej, nie mający nic wspólnego z weselem i radością, podobny raczej do jęków bólu i rozpaczy, niż do dobroczynnego śmiechu, odkrył jej zęby, dotąd jeszcze śliczne, jak rząd pereł cennych, osadzonych w oprawie z koralu.

Kropla krwi z warg jej wytrysła; zimny pot

zwilżył białe czoło... a chichot. przed chwilą głośny, zamienił się w ciche łkanie, które jednak siłą woli stłumiła.

— Moja Marcelo, nie miałabyś najmniejszej słuszności, gdybyś chciała być zazdrosną — rzekł Kazimierz—byłabyś bowiem zazdrosną o nic, o urojenie. Serce moje oddawna umarło. Nic nie kocham... Miłość dla ciebie, jedyna, jaką w życiu zaznałem, zużyła mnie do szczętu. Nie znam już żądz, ani pragnień namiętnych. Sumienie, nieustannie przypominające przeszłość, zabija we mnie wszelkie erotyczne uczucie! Czyż sama nie wiesz o tem najlepiej, spędzając noce w ciągłej bezsenności, płacząc, gdy mrok zapada... płacząc, gdy słońce wschodzi... bo pozbyć się nie możesz myśli przygnębiającej o popełnionej zbrodni i o człowieku nieszczęśliwym, pokutującym za nią niewinnie.

— Och! – zawołała, zatykając sobie uszy obu rękami—milcz, na Boga!.. proszę cię, milcz!

— Gdziekolwiek zatrzymaliśmy się czas jakiś, tęskniłaś za krajem. Nie podobał ci się pobyt w Nowym-Yorku, Boston i Filadelfia nie zdołały cię zatrzymać w swoich murach, Paryż nużył cię swoją ruchliwością i ogromem, nie uległaś czarowi przyrody w Neapolu, ani urokowi wiekowych wspomnień w Rzymie. Zaledwieśmy przybyli do jakiegokolwiek obcego miasta, wnet chciałaś je opuścić.

— To prawda!

— Choroba wieku, neurastenia, pochwyciła duszę twoją w swoje ostre szpony...

— To prawda!.. to prawda!

— A nadto ciągle lękałaś się spotkania z Selimem. Obecnie nawet, drżysz z przestrachu na samą myśl, że zjawić się może, odkryć nasze schronienie... i znowu przyłożyć nam nóż do gardła, grożąc zdradzeniem naszej tajemnicy.

— Jeśli mi się kiedykolwiek ukaże, nie wyjdzie stąd żywym. Nie ty, lecz ja go trupem położę!

— Wówczas cię uwiężą, a powtórnej pomyłki sądowej spodziewać się nie możesz. Nie zdołasz się obronić...

— Tak sądzisz?!.. Otóż się mylisz. Wyznam przed sądem wszystko, powiem, dlaczego targnęłam się na życie hrabiego Jelskiego... że nie chodziło mi o wyswobodzenie się z pod jarzma małżeńskiego, ani o majątek, lecz o dziecko... o dziecko moje jedyne! Krzyk miłości macierzyńskiej wzruszy serca sędziów, zrozumieją, że działałam pod wpływem siły wyższej... i uniewinnią mnie...

— Może...—szepnął Kazimierz, uśmiechając się sceptycznie.

— Może, powiadasz?... A jednak.. jednak, gdyby wszystko wrócić mogło do dawnego stanu rzeczy, gdyby zamordowany żył jeszcze, zdaje mi się, że uczyniłabym to samo, bo niema nic, czegobym nie poświęciła dla odszukania mego dziecka, mego syna... który liczyć musi obecnie lat dwadzieścia...

— Nigdy go nie znajdziesz!

— Szukać będę wszędzie!.. Poruszę niebo i ziemię, a znaleść muszę. Niepodobna, abym się nie spotkała z tą znikającą ciągle Ciupagą i żeby mi ona nie wyznała całej prawdy. Obsypię ją złotem, dam co zechce, lecz musi mi powiedzieć, co zrobiła z mojem dzieckiem.

Podniecona Marcelina mówiła jeszcze, chociaż Kazimierza nie było już w pokoju. Ulotnił się po cichu z buduaru żony. Gdy to spostrzegła, szepnęła, wzdychając ciężko:

— Och! on mnie już nie kocha. Wszystko, co mnie obchodzi, jego nudzi i drażni. Niema nademną litości! A ja... ja go kocham, może mocniej, jak dawniej!.. Wyrzuca mi zazdrość. Tak, tak, jestem zazdrosną, lecz się przed nim z tem nie zdradzam.

Zbliżyła się do zwierciadła.

Chociaż bardzo umiejętnie i starannie pielęgnowała wspaniałą niegdyś piękność swoją, znać było równie w jej twarzy, jak w postawie, znużenie i ślady zbliżającej się starości. Na gładkiem dotąd czole rysowały się tu i ówdzie nieznacznie drobne zmarszczki; przy oczach, koło skroni, rozstrzępiały się już, wprawdzie niezbyt głębokie, lecz widoczne bruzdy; w bujnych włosach bieliły się gdzieniegdzie srebrne nici siwizny.

Uczuła duszność w piersi. Wybiegła z willi, aby w ogrodzie odetchnąć świeżem powietrzem. Usiadła w altanie, obsadzonej wokoło wysokopiennemi różami sztamowemi.

Zupełna cisza panuje w przyrodzie. Miliony gwiazd pokrywają ciemno-szafirowe niebo. Najlżejszy wietrzyk nie porusza gałązkami i liśćmi drzew, drzemiących w cieple nocy czerwcowej. I Marcelina, wyciągnięta na podłużnym, bambusowym szezlongu, drzemie także, znużona wzruszeniami wieczoru. Nagle, budzi ją bicie zegara, stojącego na kominku w buduarze. Przeciera oczy i powstaje... Wtem, słyszy odgłos kroków i widzi jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się do otwartego okna.

— Kto to być może?

— Czy nie Selim? — pyta się siebie w głębi duszy. — Jeśli on... zabiję go! Mam prawo zabić... jako złodzieja!..

Wsuwa się po cichu w gęste krzaki bzu i jaśminu, dochodzące prawie do samego pałacyku... i ostrożnie, na palcach, skrada się... skrada.. Staje o parę kroków od człowieka, zaglądającego do buduaru... i przypatruje mu się uważnie... Nie Selim!.. Niepostrzeżona kryje się znowu w gęstwinie.

To Piperstein, korzystając z nocy i ciszy, podszedł blisko, żeby się zapoznać mniej więcej z rozkładem pokoi na parterze. Teraz mija Marcelinę, której nie widzi... cofa się w tył... i znika za parkanem sąsiedniej, niezabudowanej parceli.

Marcelina, drżąca ze strachu, wraca do pokoju. Sama zamyka okno i okiennice, poczem biegnie na pierwsze piętro do sypialni, gdzie znajduje Kazimierza, czytającego dzienniki wieczorne.

— Jeszcze nie śpisz?

— Czekałem na ciebie. Czemu tak późno przychodzisz?

— Byłam w ogrodzie... gdzie widziałam...

— Lokaja Józefa, umizgającego się do twojej panny służącej...

— Doprawdy, nie można mówić z tobą! – syknęła, wzruszając ramionami.

— Chciej z łaski swojej jaśniej się tłómaczyć.

— Widziałam mężczyznę...

— Stworzyła go twoja wyobraźnia. Wszystkiego teraz się lękasz. Mówię na seryo, że chwilami zdaje mi się, iż blizką jesteś obłędu... Prawdopodobnie zasnęłaś... i coś ci się przyśniło...

— Powtarzam: widziałam. Ukryta w krzakach widziałam, jak zaglądał przez otwarte okno do buduaru...

— A potem?

— Przyjrzawszy się wszystkiemu uważnie, uciekł za parkan sąsiedniej posesyi. Nie trudno mu było go przeskoczyć, wiesz bowiem, jak jest w pewnych miejscach niski i rozwalony.

— To musiał być Selim — rzekł Kazimierz, uśmiechając się szyderczo.

— To nie był Selim!

— W takim razie jakiś Tatar, albo Kirgiz, który może porwać cię zamierzał.

— Chciałam obudzić służbę, lecz po namyśle dałam pokój, bo kto wie, czy to nie wysłannik Selima.

— Dobrześ uczyniła. W naszem położeniu strzedz się musimy wszystkich.

— Wiem o tem.

— To też niekoniecznie mądrze postąpiliśmy, wracając do Warszawy.

— A! niech się nasze przeznaczenie już raz spełni—rzekła Marcelina poważnie. — Wróciliśmy, bo ty chciałeś być bliżej ojca i siostry, ja zaś pragnęłam i pragnę dziecko moje odszukać.

— Zapominasz, że i ja zawsze i wszędzie o tem myślałem, wzywając listownie różne osoby znajome, by zajęły się poszukiwaniami. Zajmowały się, jak wiesz z ich odpowiedzi, lecz na próżno. Twój syn budzi nadto w głowie mojej wspomnienie o Marcinie Żarskim i o jego dzieciach, które także znikły bez śladu... a wspomnienie to jest rodzajem tortury, zadającej memu sercu srogą męczarnię..

— Rzecz dawna i obojętna! Dlaczego przypominasz mi tego człowieka i jego rodzinę, której nie znam i znać nie chcę!...

— Och, Marcelo!.. Marcelo!.. egoizm twój niema granic!

Mówiąc to Kazimierz, zły i rozdenerwowany, przeszedł do sąsiedniego pokoju, aby otworzyć w nim drzwi, wychodzące na balkon. Z nich patrzał czas jakiś z roztargnieniem na niebo, usiane gwiazdami i na pustą drogę, wysadzoną wyniosłemi drzewami, ciągnącą się poprzecznie od rogatek Mokotowskich do bram Belwederu.

Naprzeciw, na chodniku alei, za grubym pniem starej lipy, stał Piperstein nieruchomy i oczu z Kazimierza nie spuszczał. Dopiero, gdy oszklone drzwi balkonowe zamknęły się szczelnie—i ajent z miejsca się poruszył, podążając powoli na ulicę Marszałkowską.

Przed dworcem kolei warszawsko - wiedeńskiej wsiadł do dorożki i kazał się zawieść na Hożą.

Już świtało, gdy zadzwonił do jednej z kamienic, którą znać musiał doskonale, bo, nie pytając stróża o informacye, bocznemi, niewygodnemi schodami wdrapał się na czwarte piętro, przemknął cicho przez wązki i długi kurytarz, a stanąwszy pod drzwiami, oznaczonemi numerem czwartym — zapukał. Po chwili ktoś z wewnątrz gburowato zapytał:

— Kto tam, u licha?

— To ja.

— Co za ja?

— Piperstein.

— O tej porze? — odparł Maślak.

Słychać było, jak wstawał z łóżka i lampkę zapalał. Potem zbliżył się do drzwi i otworzył.

— Człowiek, mój stary, przychodzi nie kiedy chce, lecz kiedy może. Wiem, że zrana masz iść na służbę, więc przyszedłem cię obudzić. Później, nie zastałbym niezawodnie!

Maślak postawił lampkę na małym stoliczku przy łóżku, i rzekł po cichu, ale ironicznym tonem:

— Nie pytam, skąd przywędrowałeś, bo się domyślam, że zamiast położyć się spać, co ci się należało, latałeś całą noc, jak waryat jaki, za Kazimierzem Molskim.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...Wtem, słyszy odgłos kroków i widzi jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się do otwartego okna.



Pod gruzami domu: Widok zawalonego domu w Skałacie, natychmiast po katastrofie.

Pod gruzami domu.

Gorączka budowlana, której źródłem jest chciwość spekulantów, oraz niesumienność i brak uzdolnienia rzekomo fachowych odpowiedzialnych sił wykonawczych, były już powodem tysiąca katastrof, pociągających za sobą ofiary w mieniu i życiu ludzkiem. Najsurowsze ustawy, najskrupulatniejsze przepisy budowlane, są bezsilne wobec ludzkiej lekkomyślności, niesumienności i złej woli. W smutnych wypadkach – podobnych, jak świeżo w Skałacie się zdarzył — nie należy zatem ustaw winić, lecz jedynie ludzi, którym nadzór nad budową powierzony został. A wypadek był to iście tragiczny i wstrząsający swą grozą.

W roku 1904 ukończono piękny jednopiętrowy gmach Kasy zaliczkowej w Skałacie, który od miesiąca oddany został instytucyi do użytku, a w parterowych apartamentach zamieszkał w nim wraz z rodziną kierownik kasy, p. Halpern. Pozornie nie zapowiadało nic grożącej katastrofy. Mury, na oko solidnie wyprowadzone, wiązania belkowe silne, sklepienia potężne — dawały niemal gwarancyę, że budynek przetrwa co najmniej kilka pokoleń ludzkich, tem więcej, że potęgowało tę gwarancyę nazwisko budowniczego, p. Schechtera, oraz przedsiębiorcy, p. Pohorilesa. Nadzieje okazały się niestety zwodnemi!

Było to dnia 11 b. m. o godzinie 3 po południu. Urzędnicy opuścili biura przed pół godziną, a rodzina dyrektora wstała dopiero od obiadu. Pan Halpern udał się na poobiedną drzemkę do sąsiedniego pokoju, podczas gdy małżonka jego wraz z trojgiem dzieci pozostała jeszcze przy stole. W tem piekielny huk przerwał ciszę w spokojnem domostwie i równocześnie runęła ściana tylna wraz z sufitem. Huk słyszanym był w całem mieście. Zaalarmowani nim mieszkańcy zbiegli się na miejsce katastrofy, między nimi jeden z pierwszych dzielny naczelnik straży pożarnej, p. Michalewicz. Dom przedstawiał w połowie kupę gruzów; reszta ścian zarysowanych — groziła każdej chwili upadkiem.



Pod gruzami domu: Widok zawalonego domu w Skałacie na drugi dzień po katastrofie. Mury popodpierane ze wszystkich stron belkami, celem zapobieżenia dalszemu waleniu się.

Z narażeniem własnego życia rzucono się w zwaliska, by ratować życie ludzi, zasypanych gruzami, skąd słabe jęki zdradzały ich obecność. Naczelnik straży, wraz z kilkoma strażakami, wydobyli wreszcie straszenie pokaleczoną i pokrwawioną żonę dyrektora Halperna. Życiu jej grozi niewątpliwe niebezpieczeństwo. Szczęśliwym jakimś trafem ani mąż jej, ani dzieci nie odniosły w katastrofie poważniejszych uszkodzeń. Zawdzięczać to należy jedynie przypadkowemu zbiegowi okoliczności, że deski sufitu, oderwane od wiązania, upadły ukośnie, tworząc równię pochyłą — wskutek czego przysypani mieli trochę powietrza. W innym razie byliby niechybnie gruzem i rumowiskiem przysypani.

Straszny ten wypadek wskazuje, że partactwo budowlane, pomimo ostrych przepisów w tym kierunku i nadzoru odnośnych władz — prosperuje w całej pełni. W wielkich miastach, gdzie ruch budowlany przybiera bardzo szerokie rozmiary — gdzie pośpiech w budowie jest prawie nieuniknionym — dałyby się takie wypadki prędzej jeszcze usprawiedliwić.

Wprost jednak oburzającem jest, że katastrofy takie zdarzają się na prowincyi, gdzie chyba dość czasu mają wszyscy i na pracowite a sumienne wykończenie budowy — i na skontrolowanie ze strony władz wartości tej pracy – bodajby tylko w kierunku bezpieczeństwa życia ludzkiego!

Ofiara swego zawodu.

Lekarz, ksiądz i żołnierz, to powołania poniekąd pokrewne sobie. Wymagają one poświęcenia i zaparcia się siebie, umiłowania zawodu swego i cierpiącej ludzkości. Żołnierz, spieszący w obronie ojczyzny na plac boju, lekarz, czuwający przy łożu chorego, kapłan, który niesie ostatnie duchowe pociechy umierającemu — wszyscy oni narażają zarówno swoje życie dla bliźniego. Żołnierz przygotowanym być musi na bohaterską śmierć od kuli wroga, lekarz i kapłan giną nie mniej bohaterską, choć cichą śmiercią, stykając się bezpośrednio z dotkniętymi zakaźnemi chorobami ludźmi. Zwłaszcza lekarz, stojący na wysokości swego powołania, zagląda ustawicznie śmierci w oczy. Poza tem bowiem, że ustawicznie dniem i nocą konsultuje na każde wezwanie chorych, musi dla własnego doskonalenia się robić niebezpieczne studya lekarskie w szpitalach — na stole prosekcyjnym i w laboratoryum, gdzie bada istotę zakaźnych bakcyli.

Taką śmiercią cichego bohatera, męczennika nauki, zginął na klinice lwowskiej młody, pełen nadziei i wybitnych zdolności lekarz, Henryk Wojciech Mańkowski.



Ofiara swego zawodu: Dr. Henryk Mańkowski, zmarły wskutek zakażenia krwi przy dokonywaniu sekcyi.

Dokonując sekcyi w zakładzie doświadczalnej weterynaryi w Dublanach, zaraził się przypadkowo. Natychmiastowa operacya nie zdołała już uratować życia młodemu uczonemu. Przewieziony na klinikę medyczną we Lwowie, po długich, dotkliwych cierpieniach — umarł w tych dniach na ogólne zakażenie krwi.

Ś. p. Mańkowski jest rodowitym Krakowianinem. Po ukończeniu z odznaczeniem gimnazyum św. Anny, uczęszczał czas jakiś na wydział medyczny uniwersytetu krakowskiego. Następnie, przeniósłszy się do Lwowa, tam kończył rozpoczęte w Krakowie studya medyczne, uczęszczając równocześnie i na weterynaryę. Otrzymawszy dyplom lekarski, poświęcił się specyalnie weterynaryi.

Uzyskawszy stypendyum na dalsze kształcenie się za granicą, zwiedził śp. Mańkowski całą prawie Europę, studyując hodowlę zwierząt, a w Bernie szwajcarskiem otrzymał dyplom doktora wszech nauk weterynaryjnych. I teoretycznie zasłużył się bardzo zmarły lekarz nauce. Nader cenione były

jego prace z zakresu weterynaryi; długi czas był redaktorem „Hodowcy drobiu“, pełniąc zarazem obowiązki sekretarza tego towarzystwa. Ostatnimi czasy powołany został na katedrę profesora hodowli zwierząt domowych w akademii dublańskiej. Niestety! stanowiska tego objąć już nie mógł. Nieubłagana śmierć przecięła pasmo pracowitego, zacnego żywota uczonego!

Cześć Jego pamięci, która z nim razem nie zstąpi do grobu, lecz żyć będzie na wieki w społeczeństwie!

Książę Wiktor Bonaparte i spisek przeciw republice.

W poprzednim numerze podaliśmy obszerny opis spisku, znanego pod nazwą „spisku Tamburiniego“ przeciw republice francuskiej. Wyłuszczyliśmy tam przyczyny, które spowodowały władze do aresztowania Tamburiniego i wdrożenia przeciw niemu śledztwa. Sprawa ta zajmowała nietylko Paryż i całą Francyę, na której republikański rząd uczyniono rzekomo zamach, ale cały świat cywilizowany.

I wtedy już dały się słyszeć głosy, że w spisku tym czuć rękę rodziny książąt Bonaparte — a zwłaszcza księcia Wiktora, obecnie głowy całej rodziny.

Książę Wiktor Napoleon, którego podobiznę zamieszczamy obok, liczy 43 lata. Urodził się w roku 1862 w Paryżu, ale w r. 1866 musiał opuścić Francyę i ze względów politycznych żyć na wygnaniu. Jest on najstarszym synem księcia Napoleona Bonapartego, który pod nazwiskiem „*księcia Plon-Plon*“ był niegdyś jedną z najbardziej popularnych osobistości w Europie. Ojciec jego, książę *Plon-Plon*, obdarzony charakterem samodzielnym, niezawisłym, skłaniającym się silnie ku republikanizmowi, przebiegły i przewidujący dyplomata, był jakby stworzony na władcę, ale na władcę w duchu zupełnie modernistycznym. Ale to właśnie, że zbyt jawnie i otwarcie, bez skrupułów wypowiadał swoje zdania i myśli, spowodowało, że większą część życia musiał spędzić na wygnaniu. W roku 1859 ożenił się z córką Wiktora Emanuela, siostrą późniejszego króla Humberta — Klotyldą, księżniczką sabaudzką, ale małżeństwo to nie było szczęśliwe. Małżonkowie żyli w ostatnich dziesięciu latach, do roku 1891, t. j. do śmierci księcia Napoleona, w separacyi.



Książę Wiktor Bonaparte i spisek przeciw republice: Książę Wiktor Bonaparte.

Mieli troje dzieci, t. j. księcia Wiktora, bohatera i inicyatora obecnego spisku, księcia Ludwika, obecnie generała rosyjskiego i księżniczkę Letycyę, obecnie wdowę po księciu Aosta.

W ostatnich latach życia książę Napoleon zerwał z synem Wiktorem i już do śmierci nie pogodził się z nim. Ks. Wiktor, aczkolwiek najstarszy, musiał wobec wyraźnej woli ojca, wyrażonej w testamencie, zrzec się pierwszeństwa w rodzinie na rzecz księcia Ludwika. Woli księcia Napoleona nie uszanowała jednak partya Bonapartystów — która za głowę rodziny Bonaparte uznała właśnie księcia Wiktora. Przed rokiem obiegła świat wiadomość, że książę Wiktor zamierza poślubić ks. Klementynę belgijską. Małżeństwu temu sprzeciwiał się ojciec ks. Klementyny i wskutek tego sprawa zaręczyn przeciągła się o kilka miesięcy. Sprytny jednak król belgijski poruszył wszystkie sprężyny, aby zamysły swej córki i ks. Wiktora w niwecz obrócić, do czego dopomogła mu właśnie niniejsza afera.



Spółka mleczarska właścicieli większych posiadłości w Rudkach: Widok zewnętrzny gmachu Spółki mleczarskiej w Rudkach.

Jak obecnie donoszą, w kołach dworskich w Brukseli mówią o zamiarze wydania księżnej Klementyny za obecnego króla saskiego Fryderyka Augusta, Wiktor Emanuel stał się bowiem wskutek tej afery niemożliwym.

Już to przyznać trzeba, że dwory współczesne nie mogą się obejść bez skandalów i prawie co roku ma świat nową aferę, czysto dworską, a co więcej — mocno skandaliczną.

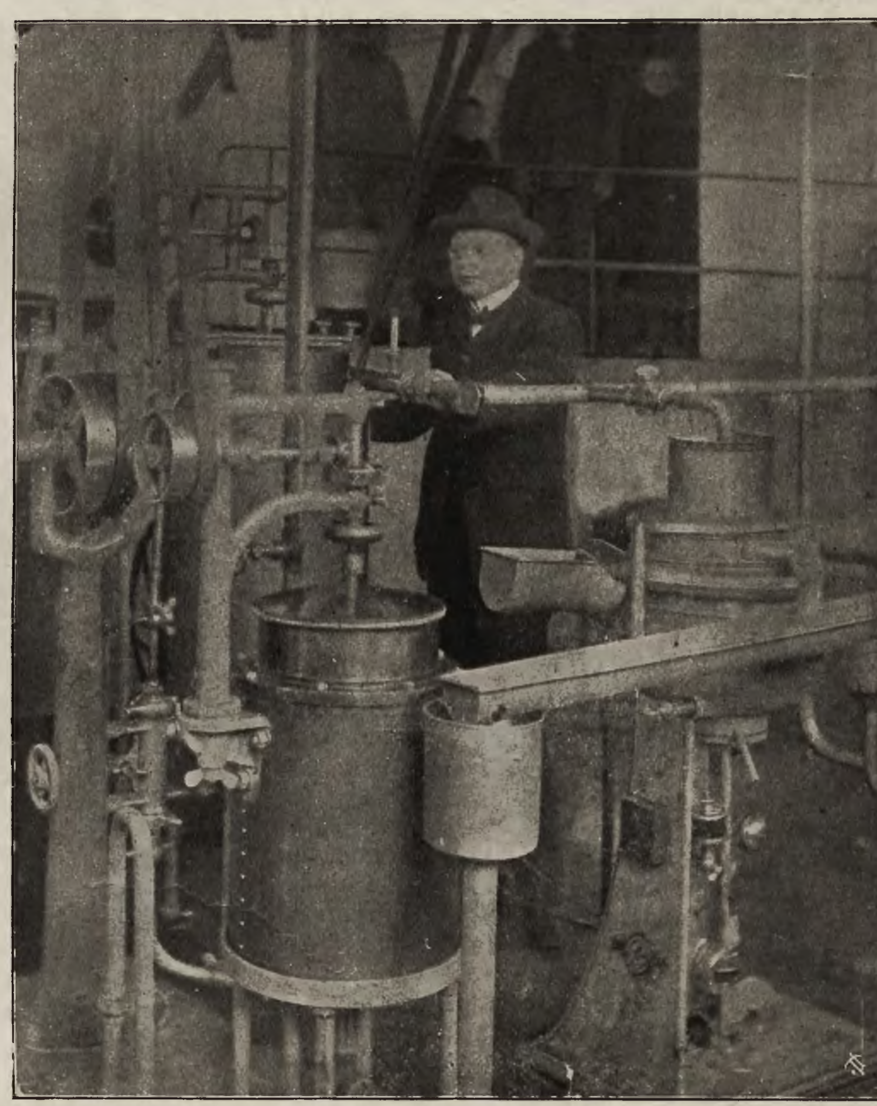
Spółka mleczarska właścicieli większych posiadłości w Rudkach.

Do niedawna przemysł mleczarski zajmował w Galicyi niemal ostatnie miejsce. Rzecz to tem dziwniejsza, że w Galicya, kraj wyłącznie prawie rolniczy, mógł oddawna już przemysł ten u siebie wprowadzić, rozwinąć i ciągnąć zeń pokaźne zyski. Ale, jak zwykle, brakło u nas ludzi, którzyby sprawie uprzemysłowienia kraju chcieli poświęcić swe siły i którzyby się zajęli organizacyą racyonalnego przemysłu mleczarskiego. Ruch taki objawił się dopiero, dzięki kilku energicznym jednostkom, w Myślenicach, gdzie założona przed rokiem spółka mleczarska doskonale funkcyonuje, a ostatnio w Rudkach, niedaleko Lwowa.

Przed pół rokiem założono w Rudkach Spółkę mleczarską właścicieli większych posiadłości. Spółka ta miała na celu skupienie wytwórstwa mlecznego z Rudek i okolicy i przez racyonalne, rozumne i ekonomiczne prowadzenie, uzyskać dla swoich wyrobów zbyt nie tylko w kraju, ale i zagranicą. Wybudowano kosztem 80.000 koron gmach piętrowy, odpowiadający wszelkim wymaganiom, jakie można stawiać przy takiej instytucyi, zaopatrzono gmach ten we wszelkie najnowsze urządzenia, między innymi motor o sile 6 koni, kocioł parowy o ciśnieniu 7 atmosfer itd. Dziennie przetwarza sie tam około 3000 litrów mleka, dostarczanego z okolicznych dworów, częśiąc na śmietankę, częścią na masło, ser i twaróg.

Specyalny przyrząd sterylizuje śmietankę, oddzieloną poprzednio od mleka zapomocą centryfugi, która oddziela 1400 litrów na godzinę. Masło i wszelkie inne przetwory rozsyła się codziennie po całej prawie Galicyi.

Powstanie tej nowej placówki naszego przemysłu zawdzięczać należy hr. Aleksandrowi Skarbkowi, hr. Lanckorońskiemu z Komarna i p. Stefanowi Janko z Ostran. Oni to zajęli się organizacyą Towarzystwa udziałowego, którego kosztem wybudowano gmach mleczarni i oni to przystąpili do Towarzystwa z największymi wkładkami. Administracya spoczywa w ręku hr. Zofii Skarbek i inspektora p. Karola Surówki. Jest nadzieja, że mleczarnia w Rudkach rozwijać się będzie coraz le-



Spółka mleczarska właścicieli większych posiadłości w Rudkach: Wnętrze hali maszyn w nowowybudowanym budynku dla wyrobu przetworów mlecznych.

piej i że w krótce stanie się jednem z ognisk naszego wytwórstwa na polu mleczarstwa.

Zamieszczone obok dwie ryciny, przedstawiają: jedna ogólny widok mleczarni i hali maszyn z zewnątrz, druga wnętrze lokalu.

Ustąpienie jen. Galgotzy'ego z Przemyśla.

Militaryzm daje się odczuć każdemu współczesnemu państwu, każdemu krajowi, wszystkim jego obywatelom pojedyńczo tak dobitnie, że słusznie jest on ciągle na porządku dziennym, że z konieczności musi on być omawianym zawsze i przy każdej sposobności. Miliony, jakie łożymy na utrzymanie wojska, podatek krwi, płacony przez nas państwu – nie pozwalają nam zapomnieć o prawach, przysługujących nam *ex re* tych na rzecz militaryzmu przez nas ponoszonych ciężarów. Przysługujące obywatelom prawo kontrolowania stosunków panujących w armii, zostało zakwestyonowane przez byłego komendanta korpusu przemyskiego, generała Antoniego Galgotzy'ego — i w ten sposób została przez niego wypowiedziana wojna – stanowi cywilnemu. Ta wojna, prowadzona przez Galgotzy'ego w Przemyślu i wszędzie, gdzie sięgał jego wpływ, tak naprężyła stosunki między wojskowymi a ludnością cywilną, że były one doprawdy nie do zniesienia. Dochodziło do tego, że „surowy“ generał zakazywał z powodu swego „widzimisię“, oficerom i wogóle wszystkim wojskowym uczęszczać do pewnych, jemu nie podobających się lokali. I ludność Przemyśla, a szczególniej kupcy, wiele szykan musieli znieść pod rządami generała Galgotzy'ego. Wskutek tej walki generała z „cywilami“, ucierpieli niemało sami oficerowie, którzy swoje prywatne stosunki musieli normować według kaprysu naczelnego wodza. Kto przez kilkanaście lat przyglądał się tym stosunkom w Przemyślu, ten wie, że nie były one nigdy takie, jakie panowały np. w Krakowie, gdzie komendantem był pełen taktu i obywatelskich uczuć generał Albori, a po nim, umiejący również dobrze z ludnością cywilną utrzymać stosunki, powszechną sympatyą cieszący się generał Horsetzky. Generał Galgotzy ma zostać komendantem wojskowym w Tryeście. Przeniesienie go z Przemyśla, świadczy o tem, że stosunki z Włochami są w naprężeniu, skoro Austrya swego za „najlepszego“ okrzyczanego wodza, przenosi do Tryestu, gdzie wiecznie grozi *irredenta* włoska.



Ustąpienie jen. Galgotzy'ego z Przemyśla: Jen. Karol Horsetzky v. Hornthal, dotychczasowy komendant w Zara, obecny dowódca X korpusu w Przemyślu.

Następcą Galgotzy'ego został mianowany Karol Horsetzky von Hornthal.

Nowy komendant korpusu przemyskiego jest starszym bratem komendanta krakowskiego; urodził się r. 1844 w Pradze, akademię wojskową ukończył w Wiener-Neustadt i rozpoczął służbę r. 1863. Odbył kampanię szleszwicko-holsztyńską, a następnie austryacko-pruską przy armii północnej w Czechach. W r. 1867 mianowany porucznikiem, a zarazem jako ukończony uczeń szkoły wojennej przydzielony został do sztabu generalnego. Jako kapitan odbył całą kampanię podczas okupacyi Bośni i Hercogowiny i wtedy mianowany majorem otrzymał wojskowy krzyż zasługi. W październiku 1880 r. pełnił obowiązki szefa jeneralnego sztabu: w r. 1881 został podpułkownikiem, w r. 1885 pułkownikiem; w r. 1886 mianowany szefem jeneralnego sztabu. Z początkiem r. 1895 mianowany polnym marszałkiem-porucznikiem.

Generał Horsetzky był dotychczas komendantem w Zara i na tem stanowisku zyskał sobie sympatyę wszystkich swych podwładnych. Możemy więc mieć nadzieję, że i na nowem stanowisku potrafi zmienić i zatrzeć smutną tradycyę generała Galgotzy'ego, a stosunki oficerów względem obywateli kraju oprzeć na wzajemnem współżyciu.

Zdaniem naszem współżycie i kontakt sfer wojskowych z ludnością cywilną jest konieczny, gdyż tylko takie stosunki mogą umożliwić istnienie zaufania obywateli w kraju do armii i jej zarządu.



Ustąpienie gen. Galgotzy'ego z Przemyśla: B. komendant korpusu przemyskiego, generał Antoni Galgotzy.

Loterya gospodarcza w Krakowie.

Od kilkunastu lat weszło w Krakowie w zwyczaj urządzanie przed świętami Bożego Narodzenia i przed Wielkanocą loteryi gospodarczej; urządzaniem loteryi zajmuje się grono znanych w Krakowie z humanitarności pań, a dochód z niej przeznacza komitet zwykle na jakiś cel dobroczynny, z ostatniej np., która się odbyła w wielki czwartek, — na dochód zakładu św. Jadwigi. W ten sposób loterye gospodarcze spełniają podwójne zadanie: po pierwsze, grającym, zazwyczaj ludziom mniej zamożnym, dają możność zaopatrzenia się za kilka centów w najpotrzebniejsze na święta artykuły, po drugie, każda loterya przynosi bardzo ładny dochód, który, jak już wspomnieliśmy, przeznaczony jest na cel dobroczynny. Jak widać, umiano połączyć *utile cum dulci.* Loterye odbywały się dawniej w ujeżdżalni pod Kapucynami, a po jej zburzeniu odbywają się obecnie w nowej ujeżdżalni p. Targoskiego, przy ul. Rajskiej, ciesząc się zawsze poparciem Krakowian, którzy na nie tłumnie uczęszczają.

I w wielki czwartek, ujeżdżalnia p. Targoskiego zapełniła się po brzegi. Wzdłuż budynku, po obu jego stronach, ustawiono 8 dużych stołów, zastawionych artykułami świątecznymi doborowej jakości, a więc babkami, tortami, plackami, słowem—wszystkiem, co zwykło się według tradycyi polskiej, znajdować na stole w niedzielę wielkanocną; na wieszadłach znów, widzieliśmy mnóstwo drobiu zabitego, indyków, kapłonów, gęsi, oraz wędlin. Nie brakło i żywego drobiu wszelkiego rodzaju; obok stołów ustawiono kojce, z których co chwila wydobywało się to pianie koguta, to złośliwe gulgotanie indyka, lub gniewny, ostry syk kaczki, lub gęsi. Dobór i liczba fantów świadczyły, że panie komitetowe, urządzając loteryę, dołożyły wszelkich starań, aby loteryę uczynić jak najlepszą, aby z niej jaknajwięcej ludzi mogło skorzystać. Zapobiegliwość komitetu nie poszła na marne, bo publiczność zebrała się bardzo licznie, a losy po 40 halerzy, kupowano tak ochotnie, że do niektórych stołów wprost docisnąć się nie było podobna. Każdy kupował los, bo nikt nie tracił nadziei wygranej. — Przegrałem, powiada niejeden, to teraz wygram“. Kupił los, nowy i wygrał. — „A nie mówiłem? Trzeba tylko cierpliwości“. Naszem zdaniem, więcej potrzeba przy grze szczęścia, niż cierpliwości, bo widzieliśmy ludzi, którzy wychodzili obładowani szynkami, kiełbasami, ciastami, a drudzy, którzy także grali i to nie jeden raz, wyszli z pustemi rękoma. W przeciągu półtorej godziny wszystkie fanty przeszły już w posiadanie szczęśliwych uczestników loteryi, którzy tanim kosztem będą sobie mogli uprzyjemnić święta wielkanocne.

Podajemy Szanownym Czytelnikom zdjęcie fotograficzne z czwartkowej loteryi gospodarczej. Widzimy tu grono pań, należących do komitetu, urządzającego loteryę, między innemi wiceprezydentową p. Chylińską i p. Szalayową z córką. Stół, przy którym stoją, już pusty, bo wszystkie



Fot. Jabłoński. Kraków.

Loterya gospodarcza w Krakowie: Wnętrze ujeżdżalni po rozkupieniu fantów przez publiczność. Przy stoliku grup pań sprzedających losy.

fanty już zostały wygrane. Pozostały na nim tylko dwie urny, w których się znajdowały losy. Równocześnie zdjęcie przedstawia i ogólny widok ujeżdżalni, na kilka minut przed zamknięciem loteryi.

Zmiany w austryackiej generalicyi.

Austro-Węgry przeprowadziły pewne zmiany w swoim zarządzie wojskowym. Wojna na dalekim Wschodzie dostarczyła wielu wskazówek dla austro-węgierskiego zarządu wojskowego, który — odnośnie do potrzeb i wskazań natury politycznej, przeprowadził zmiany w swym naczelnym zarządzie.

Pominąwszy już zmianę, wywołaną w ministerstwie obrony krajowej, mamy do zanotowania nowe mianowania w piątym korpusie w Preszburgu i w generalnym inspektoracie wojskowym. Arcyksiążę Fryderyk, dotychczasowy komendant korpusu w Preszburgu, otrzymał odręczne pismo cesarskie, zawiadamiające go, że w uznaniu jego zasług, jako głównodowodzącego V korpusem — otrzymuje nominacyę na generalnego inspektora wszystkich wojsk. Na jego miejsce został powołanym do Preszburga generał Steininger, były komendant 32 dywizyi piechoty.

Arcyksiążę Fryderyk nietylko rangą swoją — ale i niezaprzeczonemi zdolnościami fachowemi, najlepiej nadawał się na tak wysokie i odpowiedzialne stanowisko.

Podobno ministerstwo wojny nosi się też z myślą połączenia na przyszłość wszystkich trzech dotychczasowych agend inspektoratu wojskowego w jednych rękach – a mianowicie w rękach arcyksięcia.

Tego rodzaju scentralizowanie inspektoratu wojskowego, wyszłoby zapewne na korzyść armii — a być może, że z koncesyami dla Węgrów otworzonoby tylko nowy inspektorat — specyalnie dla armii węgierskiej.

Kryzys węgierski, niezałatwione przesilenie na Węgrzech wywołało u rządu dość silne zamieszanie, nad którego usunięciem silą się nie tęgie wcale głowy austryackich polityków. Żądania Węgrów na polu wojskowem popsuły szyki całej austryackiej generalicyi, która musiała przynajmniej na razie zrezygnować ze swych milionowych aspiracyj na dalsze zbrojenia się Austro-Węgier. Zmiany w austryackiej generalicyi, przenoszenie komendantów jednych korpusów na komendę do innych korpusów, pogłoski o mającem nastąpić zamianowaniu generała Galgotzy'ego komendantem jednego z korpusów węgierskich świadczą o tem, że rząd nosi się z jakiemiś planami wojskowemi, które na razie należą do urzędowej tajemnicy! Rząd zdaje się na swoją rękę działać w celu zażegnania kryzysu i zapewne zarządzenia, które przeprowadzi, będą ostatecznym wyrazem jego polityki, alie czy Węgrzy te zarządzenia zaakceptują, to jest pytanie, z którem muszą się liczyć sfery rządzące i korona.

Towarzystwo „Oświaty Ludowej“ w Stanisławowie.

Po upadku powstania w roku 1863, rzucono się u nas w kraju do pracy nad oświatą ludu, poznawszy, że przyszłość ojczyzny naszej leży w ludzie naszym, w uświadomieniu jego i uobywateleniu. Należało cały kraj podnieść do poziomu wyższej kultury i zrównać go pod tym względem z tymi narodami, które zupełnie świadome swoich celów, umiały zachować niezależność polityczną.

Rozpoczęła się na wszystkich polach oświaty narodowej praca gorączkowa. Powstały „Towarzystwa pedagogiczne“, następnie „Towarzystwa Oświaty ludowej“, w dalszym ciągu zawiązało się Towarzystwo „Kółek rolniczych“, wreszcie zaś towarzystwo „Szkoły ludowej“. Wszystkie te stowarzyszenia mają chlubną swoją kartę w historyi cywilizacyi Galicyi w ostatnich latach czterdziestu i przyczyniły się w znacznym stopniu do podźwignięcia kraju naszego zarówno pod względem kulturalnym jak i narodowościowym.

Jednem z najstarszych w kraju i najbardziej zasłużonych, jest niewątpliwie Towarzystwo „Oświaty ludowej“ w Stanisławowie, samoistnym rządzące się statutem. Ma ono piękne swoje tradycye. Założone przed 25 laty przez grono młodzieży akademickiej wzięło się raźnie do pracy, szerząc w promieniu kilkunastomilowym Stanisławowa słowo i myśl polską, stając się dla kraju placówką narodową, na wschodnie kresy wysuniętą, dla miasta samego zaś ogniskiem duchowego i obywatelskiego życia.

Do Czytelni „Oświaty ludowej“ garnęły się wszystkie lepsze umysły i serca, dla zadań narodowych nie obojętne. Jednym z pierwszych prezesów tego Towarzystwa był niewygasłej pamięci Agaton Giller, członek rządu narodowego z roku 1863, żołnierz i publicysta, spoczywający na stanisławowskim cmentarzu, dalej zaś ś. p. Ignacy Kamiński, zasłużony weteran sprawy narodowej, przewodniczącym tego stowarzyszenia widzimy dalej obecnego burmistrza miasta Stanisławowa dra Nimhina, ś. p. Felicyana Millerowicza, i prof. Grünberga.



Zmiany w austryackiej generalicyi: Arcyksiążę Fryderyk nowomianowany inspektor wojsk austryacko-węgierskich.

Szereg ten zamyka, jako ostatni przewodniczący, znany publicysta pan Stanisław Błotnicki, za którego długoletniej prezesury przekształciło się Towarzystwo „Oświaty ludowej“ w stowarzyszenie o charakterze literackim, odstępując swoje czytelnie ruchliwszemu od siebie Towarzystwu „Szkoły ludowej“.

Tow. „Oświaty ludowej“ przemieniło się na ostatniem dorocznem zgromadzeniu w „Czytelnię naukową“, powołując na przewodniczącego swojego prof. Adama Cehaka, znanego w literaturze sympatycznego poetę, pisującego pod nazwiskiem Adama Stodora.

Wizerunki nasze przedstawiają zasłużonego przedniczącego T. O. L. pana St. Błotnickiego, jakoteż przewodniczącego „Czytelni naukowej“, pana Adama Cehaka.

Wielki przemysł żelazny w Galicyi.

Przemysł żelazny, grający w ogólnym przemyśle tak ważną rolę, że wprost wyobrazić sobie nie możemy, jakby się bez niego obeszło i u nas w Galicyi, powoli, ale, od lat kilkunastu, stale się rozwija i nie ustępuje bynajmniej przemysłowi zagranicznemu. Urządzona w roku zeszłym w Krakowie wystawa metalowa była najlepszym dowodem, że kraj nasz co do przemysłu metalowego wogóle, żelaznego zaś w szczególności, stoi na pewnej wyżynie, która pozwala na przyszłość najpiękniejsze rokować nadzieje.

Już na wystawie metalowej urządzonej w Krakowie w roku zeszłym ogromem swoich wyrobów, którymi fachowcy nieraz się zachwycali, ogólną uwagę zwracała znana w Krakowie i całym kraju fabryka pod firmą L. Zieleniewski. Widzieliśmy tam mnóstwo okazów z dziedziny przemysłu żelaznego, pompy, maszyny, kotły, zwłaszcza olbrzymich rozmiarów kocioł parowy dla fabryki Braci Bartik w Tarnowie, pogłębiacz dla kopalni soli w Wieliczce itd. W ostatnich tygodniach wykonano w fabryce Zieleniewskiego olbrzymią pompę kopalnianą, o wydajności 700 m³ na godzinę. Nie będziemy się rozpisywać o składowych częściach tej pompy, której fotografię podajemy w dzisiejszym numerze gdyż zajęłoby to za dużo miejsca, a zresztą interesuje to tylko fachowców. Aby czytelnikom dać pojęcie o wielkości tej żelaznej machiny, wspomnimy tylko, że ogólna jej waga wynosi 120 ton to znaczy 120.000 klg., długość zaś 18 metrów. Wszystkie części składowe wykonane zostały w wspomnianej fabryce, według planów inżyniera Edmunda Zieleniewskiego. Pompa przeznaczona jest dla kopalni węgla w Sierszy, a wykonaną została na specyalne zamówienie J. E. namiestnika Andrzeja hr. Potockiego. Według ogólnego zdania fachowych znawców pompa ta jest dziełem, którem fabryka Zieleniewskiego śmiało się może poszczycić.

W Sierszy służyć będzie ta pompa do wypompowywania wody z kopalni węgla. Kopalnia to wielka, potrzeba więc było specyalnie wielkiej i specyalnie do tego skonstruowanej machiny, któraby mogła wypompować gromadzącą się w kopalni wodę. Pompa, wykonana w fabryce Zieleniewskiego, odpowiada w zupełności wymaganiom i to stanowi jej najcenniejszą zaletę. Fakt zresztą, że wykonano ją w Krakowie, siłami naszymi, w polskiej fabryce, jest dowodem najlepszym, że dzisiaj nie potrzebujemy już zagranicy, bo nasze fabryki wykonują nawet olbrzymy żelazne, co do trwałości i siły przewyższające wyroby zagraniczne.



Wielki przemysł żelazny w Galicyi: Zmontowana pompa dla wypróbowania jej przed wysłaniem na miejsce przeznaczenia.



ŚLADAMI ZBRODNI

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

8 Ciąg dalszy nastąpi.

Iwan zaklął wściekle, cofnął się i przyłożył dubeltówkę tak, jakgdyby chciał Wierze wpakować kulę w piersi, ale w tej chwili stary Lubasz rzucił się nań, jak szalony.

— Nie tykaj mi dziecka! rozumiesz?!... — zaskrzeczał — jak chcesz już mordować, to morduj mnie, ty psi synu!

Iwan opuścił strzelbę i spojrzał złowrogo na starego.

— I cóż mi przyjdzie z tego, jak zamorduję ciebie, albo tę dziewkę? — krzyknął — o tamtego psa mi chodzi — i pewnie dostanę go w swoje ręce!...

I parobczak, nie zważając na burzę, olbrzymimi krokami podążył w stronę lasu.

Wiera miała słuszność, mówiąc, że Iwan zna las tak dokładnie, jak swoją kieszeń. Przecież całymi nocami uganiał się po borze za zwierzyną, więc mógł znać każdy krzak, każde drzewo.

Drwiąc sobie z śnieżnej zawiei, kroczył szybko naprzód, patrząc bacznie, czy też przypadkiem nie ujrzy przed sobą Włodzimierza, bo którędy on poszedł, o tem wiedział dobrze. Gdzież indziej, jak nie do folwarku?... Przecież naokół było pustkowie...

— Wskazała ci psie Wiera drogę! — mruczał pod nosem — ale nim ty dojdziesz do celu, ja ci grób otworzę!

— I Iwan wykręcił na wąską drogę, prowadzącą do folwarku. Nie miał światła, więc nie mógł widzieć śladów Włodzimierza, ale węch miał za to nie gorszy od psów gończych.

— Przysiągłbym — myślał — że on szedł tędy przed chwilą! Daleko mnie pewnie nie odbiegł, więc dogonię go! dogonię, a wtedy...

W tej chwili wichura złamała gałąź, która z hukiem zwaliła się nań, kalecząc mu czoło, ale to tylko wzmogło jeszcze jego wściekłość.

— Czort! — krzyknął — niech niebo i ziemia go broni, ale ja dostanę go w swoje ręce!

Tymczasem Włodzimierz, znalazłszy ścieżynę, o której mówiła mu Wiera, biegł szybko, wytężając ostatnie siły. Ciężkie, ciepłe futro i sukienne buty krępowały jego ruchy, ale nie wiedząc, czy zdoła dobić się do folwarku, czy też będzie musiał przenocować w lesie, nie chciał się ich pozbywać. Od czasu do czasu nadsłuchiwał, czy ktoś za nim nie goni i niebawem usłyszał szmer poza sobą.

Ścigano go więc!

Nie miał broni, więc ratunek miał tylko w ucieczce. Gdyby przynajmniej zdołał dotrzeć do folwarku! Ach! wtedy byłby ocalony, wtedy mógłby nawet pomyśleć o zemście na mordercach! Latarka migotała się jeszcze, więc Włodzimierz widział drogę przed sobą, ale widział, że prócz boru, nic niema dokoła.

W tej chwili huknął strzał. Kula przeleciała mu koło uszu. Więc nietylko był ścigany, ale, co gorsza, został odkryty.

— Nadchodzi śmierć! — pomyślał sobie, ale nie chciał dać za wygraną.

Zebrał wszystkie siły i pędem puścił się naprzód. Wbiegł na jakąś polankę i stanął zdumiony. Wiera nic mu o niej nie wspominała.

— Zabłądziłem! zginąłem! — ta myśl, jak błyskawica mignęła mu w głowie.

Przerażony podniósł w górę latarkę, aby zobaczyć, którędy ma zwrócić swe kroki.

W tej chwili rozległ się znowu huk strzału. Szkło posypało się z latarki i światło zgasło.

Następowano mu już na pięty.

Wśród ciemności dojrzał rozłożysty krzak, więc postanowił się tam ukryć. Jednym skokiem znalazł się pod nim i — wpadł prawie po szyję do śniegu. Zrazu chciał się wydobyć z tej zaspy, ale siły go już opuściły...

Jakiś cień przesunął się koło krzaka z dzikiem przekleństwem. Włodzimierz poznał głos Iwana.

— Gdzie się ukrywasz, ty psie podły?! — krzyknął parobczak. — mów! mów! niech oczy nasycę twoim konaniem!...

Włodzimierz przygryzł wargi. Odpowiedź rwała się mu na usta, ale czuł, że gdyby się tylko odezwał, zginąłby, a nikt nie zdołałby nawet odkryć zbrodniarza. Nie był tchórzem i nie chodziło mu o życie, ale pamiętał o swoim obowiązku, wiedział, że musi milczeć, jeśli chce wydać morderców w ręce sprawiedliwości.

Śnieg sypał nań gęstymi płatami i powoli przybywało go coraz więcej, zasypywał mu twarz i ręce, a Włodzimierz mimo to nie ruszał się wcale. Gdyby z pół godziny musiał tak leżeć, z pewnością nigdyby już więcej świata bożego nie oglądał!...

— Że też do czorta nie wziąłem sobie latarni! — zaklął gdzieś w pobliżu Iwan — teraz trupa nawet odszukać nie mogę.

Detektyw słyszał jego ciężkie kroki, oddech sapiący i poznał już — że zmęczony szukaniem bezowocnem wraca do gospody. Ale choć prócz pogwizdów wiatru niczego słychać nie było, długo jeszcze pozostawał w swej kryjówce, aż na koniec wypełznął z niej i zlany potem stanął znów na polance. Naprzeciw niego, tuż za pobliskim krzakiem, jak dwie gwiazdy, błysnęła para oczu. Włodzimierz rzucił się w tę stronę, jak oszalały. Błyszczące oczy zniknęły i tylko szelest cichy dał się słyszeć. To wilk, ale zapewne nie głodny, bo uciekł przed Włodzimierzem.

Z Iwana nie było ani śladu. Zbrodniarz posunął się naprzód i tam przetrząsał krzaki. Znał dobrze ten las i wiedział, że na każdym kroku jest pełno rozpadlin, dołów i wykrotów, był więc pewny, że Włodzimierz, straciwszy latarnię, zmylił drogę i teraz leży zraniony gdzieś wśród śniegu, wydając ostatnie tchnienia.

Zbrodniarz całą godzinę kręcił się tam i napowrót, zaglądał do każdego wywrotu, pod każdy krzak, ale nie mógł odszukać postrzelonego — jak mu się przynajmniej zdawało — przeciwnika, więc w koń u znużony powrócił do gospody.

W gospodzie pogasły już światła. Iwan wszedł do środka i stanąwszy w szynkowni zapalił lampę. Na ławie pod ścianą leżał stary Lubasz i w milczeniu spoglądał na parobka.

— Hej! — odezwał się Iwan, rzucając na stół dubeltówkę — zdaje mi się, że już nam ten łotr nie zaszkodzi! Ale złość mnie porywa, gdy myślę o tej dziewce, która pokrzyżowała nam wszystkie plany. Co jej do tego? Czego ona miesza się do nas? Czy chce może, żeby nas ten łajdak zakuł w kajdany, jeśli naprawdę udało mu się uciec?!

— Co z nim zrobiłeś? co się stało? — zapytał posępnie Lubasz.

— Nie wiem, czy która z moich kul go trafiła — odrzekł Iwan — ale mierzyłem dobrze i ręka mi nie zadrżała. Szedł z latarnią, którą mu Wiera dała i po drugim strzale latarnia zgasła... Szukałem go, ale nie mogłem znaleźć. Pewnie ranny powlókł się jeszcze parę kroków i wpadł do jakiegoś dołu, gdzie go śnieg zasypie i aż do wiosny będziemy mieli spokój. Na wiosnę zaś ja go odszukam i postaram się mu o mogiłę.

— A jeśli go nie trafił? jeśli uciekł i sprowadzi nam na kark żandarmów?...

Iwan wstał z ławy i błyszczącymi oczami spojrzał na starca.

— Zobaczymy! — odezwał się — już ja w tych dniach dobrze się będę pilnować, a gdybym tylko dostrzegł coś podejrzanego, tak przedewszystkiem zemszczę się!... Ubiję Wierę!... Ale do tego nie przyjdzie! Do ośmiu dni nabierzemy pewności, a wówczas ani chwili dłużej czekać nie myślę! Rozumiesz stary! ośm dni czekam, a potem dziewka musi być moją!...

Iwan przeciągnął się i stanął na progu szynkowni.

— Dobrej nocy, Wasyl! Czas spać po dzisiejszej pracy! A mógłbyś z nią pogadać, żeby się tak nie boczyła na mnie, bo jak złość mię porwie za jej dzisiejszy postępek, to nie ręczę za siebie i za to, czy jej prostej drogi do nieba nie obmyślę!

Iwan wyszedł z izby i zatrzasnął drzwi za sobą, a Wasyl podniósł się z ławy i podszedł w kąt, gdzie nad szynkwasem wisiał obraz Matki Boskiej kazańskiej. Starzec dawno już zapomniał pacierza, dawno nie ugiął kolan przed świętym obrazem, ale dziś jakaś dziwna, niewidoma siła pędziła go w ten kąt, z którego Boża Macież spoglądała nań surowym, zagniewanym wzrokiem.

Chciał się modlić, ale słowa zamierały mu na ustach. Powoli chylił się coraz bardziej ku podłodze, aż wreszcie padł jak długi i w szynkowni rozległo się głośne chrapanie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Włodzimierz szedł dalej przez las. Wprawdzie zrazu nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ale siła woli zwyciężyła znużenie. Myśl o tem, że zbrodniarze powinni doznać zasłużonej kary i że tam w gospodzie pozostała Wiera, której życiu zagraża niebezpieczeństwo, dodawała mu bodźca.

— Niech się dzieje, co chce! — myślał — ja muszę wydostać się z lasu, muszę dobić się do folwarku! Jeśli na chwilę spocznę tylko, zginąłem! Usnę — i więcej się już na tym świecie nie zbudzę!...

Ociężałym krokiem, mimo zupełnego wyczerpania i zmęczenia, ruszył naprzód, ale nim doszedł do najbliższego krzaka, zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą postać staruszki swej matki. Skostniałą ręką nabrał śniegu i przetarł oczy.

— Halunacya! — szepnął — zaczynam tracić zmysły, gorączka mnie rozbiera... jeszcze kilka chwil i padnę bez przytomności... zginę w tem odludziu!

Chciał krzyczeć, chciał wołać o pomoc, lecz bał się, bo Iwan mógł jeszcze kręcić się gdzieś w pobliżu, mógł go dosłyszeć, o wtedy czekała go pewna śmierć.

I w milczeniu dalej przedzierał się przez krzaki, zapadając często aż po pas w śniegu. Zwolna zrobiło się nieco jaśniej; śnieg przestał padać i księżyc wyjrzał z poza chmur, oświetlając wąską ścieżynę. Radość napełniła serce młodego detektywa: dojrzał. że las kończy się już i o parę kroków dalej rozpościera śnieżna równina. Wiedział, że tuż pod lasem ma być folwark i zdawało mu się, że jest już uratowany.

Ale ta radość nie trwała długo. Ożywiony nadzieją, zrobił jeszcze kilka kroków i na samym kraju lasu padł bez czucia. Siły opuściły go już zupełnie.

I leżał tak chwilę, dysząc ciężko, gdy wtem, gdzieś w dali, usłyszał szczekanie psa. To mu nowych sił dodało. Z trudem dźwignął się nieco — i spojrzał na równinę. O jakie ćwierć wiorsty dojrzał zabudowania. To musiał być ów folwark, o którym mówiła mu Wiera. Zrozumiał, że jeśli zdoła się tam doczołgać, jest uratowany.

Wstał i ledwo ciągnąc nogi za sobą, począł iść prosto w kierunku tych zabudowań. Szczekanie psa odezwało się znowu...

Chwiejnym krokiem, zataczając się jak pijany, zdążał Włodzimierz naprzód

— Jeszcze tylko kilka minut! jeszcze z dwieście kroków — szeptał detektyw, jak w gorączce i szedł dalej, a zdawało mu się, że końca niema tej drodze.

I nagle nogi obsunęły mu się w śniegu. Znów upadł. Wytężył wszystkie siły, ale nie mógł się już podźwignąć. Sparł się więc tylko na rękach i spojrzał przed siebie. O dwa kroki widać było parkan, otaczający zabudowania i bramę. Chciał czołgać się naprzód, lecz nie był w stanie ruszyć ani ręką ani nogą. Rozpaczliwy krzyk wyrwał mu się tylko z gardła:

— Na pomoc!... Ratunku!... ratunku!... ratunku!...

I w tej chwili pociemniało mu w oczach. Stracił przytomność.

Za bramą rozległo się zawzięte szczekanie. Czujny kundys poczuł obcego i jak szalony, rwał się na łańcuchu. Drzwi od chaty otworzyły się cicho i wysunęła się na podwórko postać z latarką w dłoni, otulona w kożuch chłopski, człapiąca drewnianymi pantoflami, których tak chętnie używają wieśniacy rosyjscy. Był to wysoki, barczysty, siwy jak gołąb starzec, który wprost skierował się do budy kundysa i zaczął go uspokajać.

Ale słowa jego nie pomagały. Kundys szczekał coraz głośniej i rwał się ku bramie.

Stary wieśniak, właściciel folwarku, spał już od dawna, gdy szczekanie psa zbudziło go ze snu. Znał czujność swego kundysa i wiedział, że albo złodzieje są gdzieś w pobliżu, albo też stało się ogółem coś niezwykłego. Ubrał się więc czemprędzej i wyszedł na podwórko. Ale tu wszystko było spokojne i nic podejrzanego nie mógł spostrzedz. Przez czas jakiś wieśniak nadsłuchiwał, lecz i za bramą panowała cisza. A jednak pies szczekał bez przerwy i rwał się na łańcuchu, jakgdyby kogoś chciał na kawałki potargać.

Stary wieśniak czuł, że mimo tej ciszy, musiało się stać coś nadzwyczajnego. Bez wahania więc spuścił swego kundysa z łańcucha, a ten — jak szalony, skoczył ku bramie i począł drzeć ją pazurami. Starzec pospieszył za nim. W towarzystwie psa nie obawiał się niczego, bo znał jego siłę i odwagę. Otworzył bramę... Pies ruszył naprzód i stanął w tej chwili, wyjąc żałośnie.

W głębokiej fosie, tuż pod bramą, leżał jakiś człowiek bez życia.

— Zbłąkany podróżny! — rzekł wieśniak półgłosem — kto wie nawet, czy nie zmarznięty już! Trzeba go jednak ratować, bo to chrześcijański obowiązek...

I starzec, chwyciwszy psa za obrożę, zaprowadził go na podwórko, przypiął znów na łańcuchu, poczem uderzył w dzwon alarmowy.

Na dźwięk dzwonu ze stajen i chaty wybiegło kilku młodych parobków.

Przy ich pomocy stary wieśniak przeniósł podróżnego do chaty, kazał go rozebrać do naga i nacierać śniegiem całe ciało póty, póki nie poczerwieniało zupełnie.

— Ma ranę w głowie! — rzekł wieśniak do parobków — albo więc wpadł w ręce jakichś zbrodniarzy, albo w lesie spadła nań gałąź podczas burzy! No chłopcy, a teraz zanieście go do łóżka i zapalcie dobrze na kominie!...

Po jakiej półgodzinie Włodzimierz otworzył oczy. Pociągnął potężny łyk wódki z flaszki, którą mu podał, pochylony nad nim starzec i nagle zatrząsł się jak w febrze. Szeroko otwartemi, błędnemi oczyma potoczył po izbie i dreszcz znów przeszedł jego ciało.

— Mordercy! — krzyknął — mordercy! To wyście zamordowali Borysa Jaroszyna! Ale szubienica was nie minie! mordercy!...

I wyczerpany, upadł na łoże, dysząc ciężko.

Stary wieśniak pokiwał smutnie głową i zwrócił się do parobków:

— Idźcie spać chłopcy! już ja sobie sam dam z nim radę...

Przeczuwał jakąś straszną tajemnicę i nie chciał, żeby obcy ludzie słyszeli majaczenie chorego...

Polowanie na ludzi.

W czterdzieści ośm godzin później.

Zmierzchało się już silnie, gdy duże sanie, zaprzężone w trzy wyborne rysaki — jak wicher mknęły po śniegu. W sankach siedziało pięć osób,



Pies ruszył naprzód i stanął w tej chwili, wyjąc żałośnie.

tak zawiniętych w futra i koce, że twarzy ich prawie widać nie było. Byli to ludzie, którzy nie mówili do siebie ani słowa, tylko bacznie rozglądali się dokoła. Woźnica, który siedział osobno na samym przodzie, co chwila śmigał batem i popędzał konie, które i bez tego mknęły jak strzała. W dali widać już było czarną smugę lasu, przed którym wznosiły się zabudowania gospodarcze, rodzaj małego folwarczku.

Gdy sanki zatrzymały się przed bramą, rozległo się w powietrzu dzikie szczekanie psa; konie przerażone, wstrząsnęły tak silnie łbami, że wszystkie dzwonki odezwały się głośno, jękliwie. Brama była już dobrze zamknięta. W tych okolicach było tylu różnych niebezpiecznych włóczęgów, że wieśniacy musieli się mieć zawsze na baczności. Gdyby nawet już nikt inny nie zakradł się do obejścia, jak któryś z tak zwanych pielgrzymów, co nigdy niczego więcej nie pragnęli, jak tylko przespać się na sianie w stodole, już i to było niebezpiecznem. Taki jeden, lub drugi włóczęga, bez żenady ćmił w stodole fajkę i nieraz całe gospodarstwo puszczał z dymem. Gdy wieśniak zdołał go przychwycić, krótko załatwiał z nim sprawę. Poprostu wrzucał go do płonącej stodoły. Wprawdzie lynch tego rodzaju karany był pałkami i katorgą, ale w odległych zakątkach Rosyi praktykowano ten zwyczaj bez obawy. Nie było oskarżyciela, a gdzie niema oskarżyciela, tam niema sądu, niema kary...

Woźnica zeskoczył z kozła i ujął silnie konie przy uździennicach. W tej chwili stary kożuch, w jaki był odziany, rozsunął się nieco i błysnął z pod niego mundur żandarma. Pięciu przybyłych mężczyzn szybko wydobyło się z sani i jeden zaczął gwałtownie pukać do bramy. Szczekanie psa nie ustawało, a równocześnie ktoś poza bramą spytał donośnym głosem, czego przybyli żądają.

— Otworzyć! — zabrzmiała odpowiedź — otworzyć w imieniu prawa!...

Skrzypnęły zawiasy i brama stanęła otworem. Stary wieśniak ze zdumieniem spoglądał na pięciu stojących przed nim ludzi.

— Wasza miłość! — rzekł do jednego z nich, na którego oczy wszystkich były zwrócone — to chyba pomyłka! U mnie się nic nie stało!

— Zobaczymy! — odpowiedział krótko zagadnięty.

Starzec spojrzał na mówiącego i wszystko wyjaśniło mu się odrazu.

— Ach! to wasza miłość, poznaję i wiem już, o co chodzi.

Woźnica bez rozkazu wprowadził konie na podwórko, a Włodzimierz, skinąwszy na towarzyszy, wszedł wraz z nimi za saniami i zwrócił się do gospodarza:

— A teraz zamknijcie bramę i wpuście nas do izby.

Młody detektyw w czterdzieści ośm godzin po takich strasznych przejściach powrócił ze żandarmami, aby zapolować na zbrodniarzy.

Całą noc przeleżał w malignie na łożu starego wieśniaka, ale nad ranem wróciła mu przytomność. Jego zdrowa natura przezwyciężyła chorobę i zmęczenie, a gospodarz choć prosty chłop, znał się na leczeniu i tak dobrze pilnował swego pacyenta, że ten nad wieczorem podniósł się z łóżka. Febra przestała mu dokuczać, rana na głowie okazała się bolesną, ale nie niebezpieczną. Wprawdzie członki ciężały mu jak ołów, wprawdzie ledwo, że mógł ruszać rękami i nogami, ale mimo to, nie chciał dłużej leżeć bezczynnie, nie chciał spoczywać, lecz błagał gospodarza, aby go natychmiast kazał odwieźć do najbliższego miasteczka, w którem był posterunek żandarmeryi. Stary wieśniak gwałtem chciał coś od niego wydobyć, dopytywał się, co spotkało go tej nocy, w której znalazł go bez życia pod bramą swego folwarku, ale Włodzimierz miał dlań jedną tylko odpowiedź: „Poczekajcie jeszcze dobę, albo trochę więcej — a dowiecie się o wszystkiem! Teraz każcie mnie tylko odwieźć do miasteczka i nie pytajcie o nic. Bądźcie jednak pewni, że potrafię was sowicie wynagrodzić!“

Stary wieśniak nie pytał już więcej, tylko kazał zaprządz do sani i odesłał Włodzimierza do miasteczka, które było oddalone od folwarku o trzy godziny dobrej jazdy. Na drugi dzień Włodzimierz był już z powrotem, ale nie sam. Towarzyszyło mu pięciu żandarmów.

— Mamy w tej okolicy przedsiębrać pewne aresztowanie — mówił Włodzimierz do wieśniaka, zdążając ku chacie — tutaj zostawimy sanie i jednego z naszych towarzyszy, a sami pójdziemy dalej pieszo. Pamiętajcie, żeby naszym koniom nie brakło niczego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tłumienie rozruchów robotniczych w Łodzi: Polowa kuchnia kozacka w ul. Piotrkowskiej, na której obozuje wojsko.

Tłumienie rozruchów robotniczych w Łodzi.

Ruch rewolucyjny, jaki w tym roku ogarnął Królestwo polskie, rozszerzając się płomieniem po wszystkich większych centrach fabrycznych i przemysłowych, zatrząsł widocznie silnie posadami carskiego tronu, bo wywołał u rządu nietylko konsternacyę, ale wprost bezhołowie. Czynowniczy rząd carski nie zdołał wynaleźć innego środka na stłumienie rozruchów, ale, trzymając się dawnej metody represyi i ucisku, chwycił się jeszcze raz represyi i za pomocą karabinów postanowił bronić zagrożonych podstaw swego autorytetu. W Warszawie i Łodzi, ogłoszono stan „wzmocnionej ochrony". Wojsko ma za zadanie każdy ruch robotniczy zgnieść w zarodku, bez względu na sposób, w jaki to zrobi. Polała się więc krew robotnicza na ulicach Warszawy, Łodzi, Radomia, setki ofiar barbarzyństwa moskiewskich żołdaków leży do dziś dnia w szpitalu, albo gnije w kazamatach. Zgrozą przejął cały świat fakt, kiedy żołdacy moskiewscy w Łodzi, zepchnęli tłum demonstrujący do stawu, gdzie znalazło śmierć kilkanaście kobiet. Żołdacy dopuszczają się niesłychanych ekscesów, bo są pewni, że ich za to czeka nie kara, ale nagroda. Zbrodniczy rząd za pomocą zbrodni usiłuje utrzymać swą władzę.



Towarzystwo oświaty ludowej w Stanisławowie: Stanisław Błotnicki, przewodniczący Tow. „Oświaty ludowej" w Stanisławowie. (Treść na str. 9).

Ale płomień rewolucyi, wywołany uciskiem, nie da się zagasić tak prędko. Płomień ten wybucha coraz bardziej; tu przytłumiony, tam z nową powstaje siłą i goreje, niecąc nowe pożary, które, sądząc z ogólnej sytuacyi dzisiejszej, ogarną znowu kraj cały. Na 1 maja spodziewają się nietylko w Królestwie, ale i w całej Rosyi ponownego wybuchu rewolucyi. I nietylko w miastach ruch rewolucyjny zatacza coraz szersze kręgi; w ostatnich miesiącach ruch ten ogarnął już i wsie i to w guberniach środkowej Rosyi, rdzennie rosyjskich. Rewolucya szerzy się wśród mas, które dotychczas uważano za śpiące, niezdolne do podniesienia buntu dla uzyskania lepszej doli.

W Łodzi wybuchły znowu rozruchy robotnicze w niedzielę. W jednej z fabryk robotnicy zastrejkowali, przyszło do starcia z wojskiem; w walce zginęło kilkunastu robotników i kozaków, mnóstwo osób odniosło rany. Jest to jakby preludyum, przygrywka do ogólnego strejku, jaki ma w najbliższych dniach wybuchnąć. I znowu przysłano do Łodzi dwa pułki wojska, choć wojska jest tam podostatkiem i znowu przyjdzie prawdopodobnie do rozlewu krwi, do masakrowania i gwałtów na ulicy. Wszystkie fabryki obsadzono wojskiem, po ulicach przeciągają patrole kozackie, a na rynku biwakują żołdacy, podnieceni rzezią niewinnych i bezbronnych. Łódź zresztą od czasu rozruchów marcowych przyzwyczajona jest do widoku żołnierzy biwakujących na rynku i ulicach. Nie było prawie ani jednego tygodnia w którymby nie zaszły jakie rozruchy, a na „niebłagonadiożnych" ma rząd jedyny środek skuteczny: wojsko i karabiny.

Illustracyę nasze przedstawiają dwie sceny z życia obecnego w Łodzi. Przed fabryką płótna, jedną z największych w Łodzi, stoją kozacy, czuwając, aby robotnicy nie wpadli do fabryki i nie poniszczyli maszyn. Sam widok ich może dać wyobrażenie, jakie instynkta ludzie ci noszą w sercu, jaka to jeszcze dzicz, gotowa rzucić się nawet na dzieci, któreby się za daleko w zabawie zapędziły.

Na drugiej rycinie widzimy polną kuchnię kozacką na ulicy Piotrkowskiej. Wojsko obozuje bowiem na rynku i główniejszych ulicach. Koło kuchni zgromadzili się żołnierze, weseli, junaccy, pełni odwagi. — Tak, ale bo tu mają walczyć z bezbronnymi, z kobietami i dziećmi. Oko w oko z prawdziwym nieprzyjacielem, tak samo uzbrojonym, nie czuliby się tak swobodnymi. Zrzedłaby im mina. A mieliśmy tego dowody w obecnej wojnie rosyjsko-japońskiej.

Fotografie, jakie dziś zamieszczamy, nadesłał nam nasz korespondent łódzki.



Towarzystwo „Oświaty ludowej" w Stanisławowie: Prof. Adam Cehak, przewodniczący „Czytelni naukowej" w Stanisławowie. (Treść na str. 9).



Tłumienie rozruchów robotniczych w Łodzi: Kozacy, utrzymujący straż przed fabryką płótna, jedną z największych w Łodzi.

Nowe ulice we Lwowie.

Stolica Galicyi w ostatnich czasach rozszerza się coraz bardziej. Nie ma roku, aby nie przybyło kilka nowych ulic i to ulic zupełnie, że tak powiemy, europejskich, zabudowanych porządnie, robiących wrażenie wielkiego miasta. Lwów zresztą cały, w porównaniu np. z Krakowem, pod względem szerokości i piękności ulic jest wogóle bardziej europejskim. We Lwowie nie znajdziemy, a przynajmniej bardzo mało, ulic tak wąskich, jak Grodzka albo Floryańska w Krakowie. Ulice, stanowiące główne arterye ruchu we Lwowie — są przedewszystkiem szerokie, tak, że mogą po nich swobodnie kursować tramwaje, nie tamując bynajmniej ruchu dorożek ani pieszych, co w Krakowie na najszerszych nawet ulicach srodze się nieraz daje odczuwać.

Nowe ulice we Lwowie zbudowane są wspaniale i z czasem stanowić będą najpiękniejsze ulice Lwiego grodu. Powstają one na gruntach, dotychczas pustych, przez co Lwów zyskuje ogromnie, bo rozszerza się co do wielkości.

Z kilkunastu ulic, jakie powstały w tym roku, podajemy w dzisiejszym numerze fotografie dwu większych. Jedna rycina przedstawia zabudowania na końcu nowopowstałej ulicy, na gruntach Silbersteina. Nie jest to jeszcze ulica zupełnie zabudowana. Obecnie kończą dopiero budowę kilku domów: niema jeszcze bruku, ani chodnika, który — jak się zdaje — będzie dopiero w lecie, gdyż magistrat nasz dosyć energicznie zabiera się do brukowania nowych ulic. Domy są przeważnie dwupiętrowe, z wysokim parterem i porządnymi suterynami, dowód, że w budowie przestrzegano dosyć pilnie najprostszych zasad hygieny.

Druga rycina przedstawia nowopowstałą w tym roku ulicę Andrzeja Gołąba. Ulica to więcej już wykończona — pod względem sposobu zabudowań podobna do poprzedniej. Jeszcze jeden dom kończy się budować, ale już chodnik jest gotowy i oświetlenie wprowadzone.

Obie ulice — z których zdjęcia zamieszczamy obok — przedstawiają się na ogół bardzo ładnie. Mieszkania w nowych domach są duże, jasne, okna wielkie, klatki schodowe obszerne i widne. Powstanie nowych ulic przyjęte zostało przez wszystkich z zadowoleniem, bo mieszkania, za które teraz musiano płacić wysokie czynsze, muszą spaść w cenie. A w dzisiejszych ciężkich czasach jest to okoliczność, z którą się bardzo liczyć trzeba.

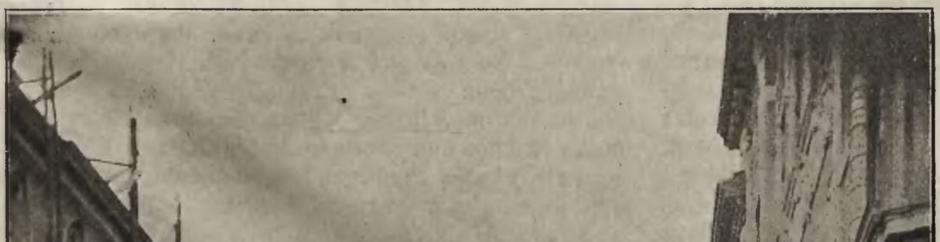


Pierwszy wyjazd papieża z Watykanu: Papież w galowej karocy udaje się wraz z asystą z Watykanu do Lourdes pod Rzymem.

Pierwszy wyjazd papieża z Watykanu.

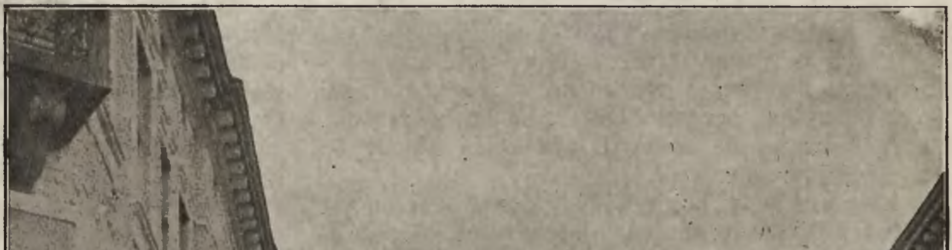
Nie wszystkim może wiadomo, że papież Pius IX po utracie świeckiej władzy i państwa kościelnego w r. 1870 — ograniczony terytoryalnie do minimum, składającego się z kilkunastu pałaców, bazyliki św. Piotra i kompleksu wspaniałych ogrodów — uczuł się do tego stopnia pokrzywdzonym i ukróconym w swych prawach, iż ogłosił się za więźnia stanu i postanowił w imieniu własnem, jak i swych następców, nie opuszczać nigdy miejsca swojej „niewoli“. Zasadzie tej pozostał wiernym następca jego Leon XIII. a spodziewano się również, że wytrwa w tem postanowieniu i obecna głowa Kościoła Pius X. Rachuby te zawiodły. Papież prócz tego, że jest dobrym, wierzącym katolikiem, jest kochającym ojczyznę swą synem, a zarazem człowiekiem trzeźwo na rzeczy się patrzącym. Wie on dobrze, że na żadną zewnętrzną doraźną interwencyę w celu odzyskania świeckiej władzy papiestwa liczyć nie może — a jako dobry patryota wie również dobrze, że w całości terytoryalnej i w jedności rządu zbawienie ojczyzny polega. Zerwał więc z ambitnem a bezużytecznem manifestowaniem swojej niewoli — i postanowił wyjeżdżać poza Watykan, gdy mu tylko będzie potrzeba. Pierwszy taki wyjazd odbył papież niedawno do Lourdes pod Rzymem, słynnem podobnie jak Lourdes francuskie miejscem cudów. Niektórzy politycy upatrują w tem symboliczne znaczenie — że papież nie chce dalszej moralnej wojny z Włochami.

Rycina nasza przedstawia galową karocę papieską z Ojcem św. — a obok, odpowiednią ceremoniałowi asystę. Jest to historyczny być może w przyszłości pojazd, w którym papież odbył pierwszą wycieczkę poza obręb Watykanu.



Fot. „Iskra“. Lwów.

Nowe ulice we Lwowie: Nowopowstała ulica na gruntach Silbersteina.



Fot. „Iskra“. Lwów

Nowe ulice we Lwowie: Nowopowstała ulica Andrzeja Gołąba.

ZE ŚWIATA.

Już po świętach. — Życzenia świąteczne. — „Zdrowia, szczęścia i pieniędzy“. — Czego życzono p. Kotarbińskiemu? — Wybory do Rady miejskiej. — Czy aktorce wolno całować cudzego męża. — Wyrok sędziego. — Ankieta teatralna w tej sprawie.

„Święta, święta — i już po świętach.“ Temi słowami we wtorek rano rozpoczynali rozmowę Krakowianie, spoglądając na resztki święconego i myśląc melancholijnie o rachunkach sklepowych, które trzeba „na pierwszego“ zapłacić gotówką. Gdybyż przynajmniej spełniła się jedna setna życzeń, które nam składali znajomi i które my nawzajem składaliśmy znajomym! Czegóżto my sobie nawzajem nie życzyli! I zdrowia i szczęścia i pieniędzy i pociechy i dzieci i bogatego narzeczonego i pięknej, a bogatej narzeczonej i niebieskiej korony... Byłoby zajmującą rzeczą spisać te życzenia na kartkach i następnie obliczyć, które z nich najczęściej się powtarzają. O ile mogłem sam obliczyć, to najczęściej ludzie życzą sobie nie tylko przy jajku święconem, lecz także przy innych sposobnościach: zdrowia i pieniędzy.

Na zdrowie zgadzam się. Wszak już Kochanowski pisał:

„Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.“

A stary Fredro z jowialnym humorem powiada:

„Szanuj zdrowie należycie,
Bo jak umrzesz, stracisz... życie“.

A więc na zdrowie zgoda. Tem bardziej po świętach, gdy niejeden ma zepsuty żołądek i pije ziółka ditlowskie. Na pieniądze równie zgoda, wszak to „nervus rerum“. Począwszy od wojny i wyborów, a skończywszy na szklance piwa i kiełbaskach, do wszystkiego, czy na wszystko potrzeba pieniędzy. Podobno nawet do sławy. Ale prócz zdrowia i szczęścia niezłą jest równie rzeczą n. p. uczciwość. Prawda — ale jakże jej mamy życzyć panu Iksowi? Wszak pan Iks obraziłby się i odpowiedział z oburzeniem:

— Jak to, więc mnie pan widocznie uważasz za nieuczciwego!

Zarzut słuszny, ale tylko pozornie. Bo kiedy ja życzę zdrowemu jak Herkules panu Y. zdrowia, to pan Y. nie uznaje za stosowne odpowiedzieć:

— Cóż to znowu, czyż ja jestem kandydatem do szpitala św. Łazarza?

Więc co z tego wynika? Niewiele, a mianowicie to, że życzenia wielkanocne w znacznej części są towarzyską bezczelnością, zdawkową monetą, którą chowamy do kieszeni, wcale się nie troszcząc o jej prawdziwość.

Zapewne przy jajku wielkanocnem życzono p. Kotarbińskiemu, ażeby został i na przyszłe sześciolecie dyrektorem teatru miejskiego w Krakowie. Czy życzenia te pochodziły z przyjaźni, czy nieprzyjaźni? P. Kotarbiński wniósł ofertę o dzierżawę teatru, więc pragnie tem samem i nadal być jego dyrektorem, człowiek tedy, życzący p. Kotarbińskiemu, ażeby utrzymał się przy dyrekcyi, jest chyba jego przyjacielem. Ba — ale przeciwko kandydaturze p. Kotarbińskiego protestuje opinia publiczna. protestują autorowie dramatyczni, protestuje znaczna część prasy, wobec tego więc przyjaciele p. Kotarbińskiego nie powinni mu życzyć ponownego objęcia dyrekcyi, co naraziłoby go na solidarne ataki owych trzech czynników. Nie powinniśmy przecież życzyć przyjacielowi imprezy, która go musi na szwank narazić, chociażby on sam pragnął z całej siły tej imprezy. Co więcej, prawdziwy przyjaciel w takim razie czyni wszystko, ażeby nie dopuścić do szwanku. Jak sobie postąpią przyjaciele p. Kotarbińskiego, nie wiem, ale obawiam się, że Rada miejska gotowa mu oddać dyrekcyę teatru właśnie dlatego, ponieważ opinia publiczna tego sobie nie życzy. Wszak Rada miejska jest niezawisłą od... opinii publicznej.

Ciekawy jestem i radbym się dowiedzieć, jak spędzili święta ci radcy, którzy mają być wylosowani do ustąpienia i muszą ponownie ubiegać się o radcostwo, oczywiście, jeżeli do tego uczuwają ochotę. Jak się zdaje, milczano o tej sprawie przy jajku wielkanocnem, wiedząc, że wszelkie życzenia na tem polu nie mają nawet wartości zdawkowej monety. W Krakowie, gdy chodzi o wybory, pewni ludzie wyrzekają się wszelkich względów, powiadając sobie „prima charitas ab ego“. Teraz przyjdą dobre czasy na wyborców. Niepewni swojego losu panowie radcy, kłaniają się wyborcom na odległość 100 kroków i wyrzuciwszy węża z kieszeni gotowi są do fundowania śniadań, a nawet do żyrowania weksli. Teraz wyborca jest „kochanym dobrodziejem“, którego wola ma być drogowskazem dla przyszłej rady.



Janina Jankowska. Fot T. Bahrynowicz. Lwów.

Ale to już wkracza w politykę, a tej pani o ile możności unikam. Więc opowiem wam czytelnicy historyę o aktorce i pocałunkach, historyę, która ma ogólniejsze znaczenie i z tego powodu zasługuje na uwagę także w Krakowie. Oto przed kilku dniami przed trybunałem sądowym w Wiedniu stanęła pewna aktorka, oskarżona o nakłanianie czy uwiedzenie do wiarołomstwa pewnego żonatego mężczyzny, z którym się całowała i była przez „ty“.

Obwiniona aktorka przyznała się, że ów żonkoś całował ją często, że ona jego nawzajem całowała, że on ją nazywał „mein Mädi“, a ona jemu mówiła: „ty“ — że jednem słowem żyli na stopie poufnej i poufałej. Aktorka przyznała to, ale zarazem na swoją obronę twierdziła, że w sferach teatralnych panują „swobodniejsze formy towarzyskie“, że tam ludzie już po krótkiej znajomości mówią sobie: „ty“, a po dłuższej całują się nawet, nie uważając tego za coś nieprzystojnego. Obrona była zręczna i o dziwo: sędzia uwolnił aktorkę od winy. Nawiasem dodajemy, że aktorka ta należy do jednego z lepszych teatrów wiedeńskich.

Wiedeński dziennik „Zeit“ zwrócił się w sprawie tej do wybitniejszych aktorów i aktorek, prosząc ich o wyrażenie swojej opinii co do form towarzyskich, panujących pomiędzy aktorami i wogóle w sferach teatralnych, co do „tykania się“ i wreszcie co do całowania się.

Członek teatru nadwornego w Wiedniu Józef Lewiński odpowiedział, że wspomniana aktorka nie miała przedewszystkiem prawa przemawiać przed sądem jako przedstawicielka sfer teatralnych. To co owa pani opowiadała przed sądem — twierdzi Lewiński — jest niemożliwem. W teatrze „Burg“ na coś podobnego nie pozwoliłaby sobie nawet chórzystka. My wobec naszych pań zachowujemy się tak, jak się zachowują dobrze wychowani obywatele wobec swoich, a dobry ton towarzyski i nas również obowiązuje.

Panna Retty, artystka teatru „Burg“ odpowiedziała: „Mam zamiar pośród moich koleżanek podnieść myśl, ażeby zbiorowo zajęły stanowisko w tej sprawie, gdyż nie ma w teatrze wcale zwyczaju, ażeby się tak ni stąd ni zowąd całowano i „tykano“. A tem bardziej nie istnieje zwyczaj całowania obcych osób, jesteśmy bowiem poza teatrem zwykłemi kobietami i uznajemy obowiązujące formy towarzyskie.

Śpiewak Leopold Demuth odpowiedział: „Jako mężczyzna mogę tylko to jedno powiedzieć, że paniom z teatru wcale nie przyznaję prawa do swobodniejszego obejścia się. Ja przynajmniej koleżanki moje uważam za damy i odpowiednio wobec nich się zachowuję“.

Inaczej na tę sprawę zapatruje się br. Annie Dirkens-Hamerstein, która odpowiedziała: „Wszelki szacunek dla sędziego który bez przesądów i we właściwy sposób osądził sprawę. My aktorki chcemy, ażeby nas nie oceniano zwykłą miarą. Zawód nasz sprawia, że o wiele więcej przestajemy z mężczyznami, niż inne kobiety, że także mamy swobodniejszy sposób myślenia niż one. Ale przytem pozostać można „damą“. Aktorka narażiłaby się na śmieszność, gdyby poza sceną, na której niedawno grała rolę, stojącą na ostrzu miecza chciała udawać naiwną i niedoświadczoną. Zresztą jest znaną rzeczą, że pomiędzy aktorami panuje w obejściu swobodniejszy ton, niż gdzieindziej, że pomiędzy nami istnieje większa poufałość. Przeważna część kolegów w teatrze jest przez „ty“ i nie widzę w tem nic dziwnego, jeżeli aktorka ze znajomym mężczyzną jest przez „ty“, albo go całuje. Ile to „bruderszaftów“ wypija się pomiędzy aktorkami ze znajomymi panami! A potem widzi się tych panów dopiero za pół roku i nie zna się ich wcale.“

Dyrektorowie teatrów Karol Wallner i Karczag energicznie protestują przeciwko temu, jakoby aktorce przysługiwały swobodniejsze prawa towarzyskie. Jak widzimy, istnieją dwa obozy, oceniające odmienie prawo aktorek do swobodnego przestawania z mężczyznami. Byłoby zajmującą rzeczą usłyszeć w tej sprawie sąd krakowskich sfer teatralnych.

Janina Jankowska.

Otóż i panna Janina... Pierwsza naiwna teatru lwowskiego z ustaloną marką... Od lat siedmiu...

Przedtem uczyła się w szkole dramatycznej w Warszawie, następnie przez rok jeden w konserwatoryum w Paryżu, w dziale dramatu, wreszcie za Hellera przyjeżdża do Lwowa i tu stawia pierwsze „kroczki naiwne“, podbijając odrazu publiczność i recenzentów. To też we Lwowie została po dzień dzisiejszy i nikomu się nie śni, by panna Jancia miała kiedyś opuścić Lwów, w którym jej tak dobrze, a który ją tak ceni i lubi... Od lat siedmiu...

Ma całą armję gorących wielbicieli, których umie trzymać w przyzwoitem oddaleniu, a którym wolno ją kochać z daleka i oklaskiwać bez końca... I to tak stale... od lat siedmiu...

Bo też panna Jankowska nadaje się w sam raz do ról naiwnych podlotków, rozkapryszonych panienek, niesfornych bachorów i urwisów... A nadaje się nie tylko z racyi młodziutkiego wyglądu, ale też z wrodzonej filuterności, rozkosznej żywości temperamentu, którymi to przymiotami rozbraja i podbija nawet najbardziej zatwardziałych mizantropów... No i to już wszystko? Ale gdzie tam, bo panna Jancia należy przecież do rzędu naszych piękności teatralnych, jest bardzo przystojną brunetką, a choć do rydwanu swojej karyery nie przywiązuje jeszcze żadnych samobójców, to jednak jest przedmiotem gorących westchnień niejednego wąsala... nadaremno...

Humoru ma tyle, że mogłaby nim obdzielić wszystkie koleżanki, a zostałoby jeszcze coś dla właścicielki... Panna Janina ma przytem tak serdeczny „bachorowaty“ głosik — gdy go potrzeba — i umie się śmiać tak pięknie i tak szczerze, że elektryzuje i porywa ze sobą całe audytoryum, nie wyłączając dzieci i wojskowych... Od siedmiu lat...

Najlepsza, wprost nieporównana w rolach *spodeńkowych*. Jej urwisz — to misternie skombinowana harmonia francuskiego *enfant terrible*, niemieckiego *bengla* i „*baby-kindermundu*“ i polskiego żaka-berbecia, podpatrzona z subtelnym artyzmem i wycyzelowana z najdrobniejszemi njansami w ruchach głosie, śmiechu i płaczu...

Jej Laluś w „*Dwu urwiszach*“ to ostatni wyraz piękna, prawdy i humoru. Tak samo jej rola w „Uliczniku paryzkim“, w którym zbierała tyle gorących oklasków... Podobnież jako Dorota w *Najstarszej*, Marynia w *Otchłani* itd.

Ról wszystkich nie spisałbyś na wołowej skórze, pomimo, że panna Jankowska jest artystką wcale młodą. Jakkolwiek w ostatnich dramatach nowego kierunku typ naiwnej znikł prawie zupełnie wraz z innymi typami dawnego *genr'u*, jakkolwiek Bałuccy, Zalewscy, Lubowscy, Gawalewicze wyprowadzili się z teatru — zdaje się — bezpowrotnie, to jednak panna Jancia nic sobie z tego nie robi, bo dla niej wszędzie znajdzie się miejsce i to miejsce wcale pokaźne; jak nie naiwna, to wesoła i trzpiotowata, to zuch-chłopak, to urwisz, któremu by się z gustem zbiło sempiternę, to nawet dzieciak-aniołek (Doktor Rentlow), wszędzie dobra, trafna, rozkoszna, zabawna, a przedewszystkiem miłująca sztukę artystka...

Na ogół duży talent i dużo warunków scenicznych, ażeby się nietylko trzymać na raz zajętem stanowisku, ale konsekwentnie postępować naprzód... i rozdmuchiwać coraz więcej tę szczerą sympatyę, jaką się całkiem zasłużenie cieszy... od lat siedmiu...

Klewe.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Z czasem wychodzą na jaw nowe szczegóły o walce nad rzeką Szaho i pod Mukdenem. Zazwyczaj żądna sensacyj natura ludzka, zapomina o barbarzyństwie wojny, a z lubością chwyta coraz nowe drobnostki, które działają na wyobraźnię i na nerwy. To, co nas interesuje i o czem chętnie rozmawiamy, piszemy, opowiadamy, jest dla zmuszonych losem brać udział w tych krwawych rzeziach i walkach, okropnością przerażającą, przemieniającą ich — ludzi w zwierzęta.

Ostatnie walki były w dziejach najstraszniejszą rzezią! A czy najbliższe dni nie przyniosą nam wieści o rzeziach jeszcze krwawszych? Wszystkiego dziś się możemy spodziewać! Wśród walczących nie ma mowy o jakiemkolwiek poczuciu humanitarności i zwątpiły o tem już dziś i te państwa, które przed niedawnym czasem jeszcze chciały pośredniczyć między stronami wojującemi.

Dwudziesty wiek, który nastał jako spadkobierca najwznioślejszych haseł i idei, jest widownią walk morderczych, jakich dotychczas świat nie widział. I obecnie w oczekiwaniu niecierpliwem spotkania się obu flot nieprzyjacielskich na oceanie spokojnym, jest coś z tego instynktu krwiożerczego, budzącego się na odgłos tych strasznych rzezi, odbywających się na Wschodzie!

Nie możemy nie podać Czytelnikom wyjątku z jednego z pięknych opisów bitwy, pisanego przez naocznego świadka tych strasznych scen, korespondenta gazety „Ruskoje Słowo“, Niemirowicza-Danczenkę. Był on sam w najpiekielniejszym ogniu, patrzył na ataki i kontrataki, na rozpaczliwy odwrót zdziesiątkowanych, przez celną artyleryę japońską wojsk rosyjskich, patrzył na tę straszną nędzę i poniewierkę wygłodniałych i zdemoralizowanych klęskami żołnierzy — opisywał to z prawdziwem i głębokiem odczuciem doli tych nieszczęśliwych chłopów, wyrwanych przemocą z chaty i wioski rodzinnej i zagnanych na wojnę! Wszyscy przypominamy sobie opis bitwy nad rzeką Szaho. A oto, jak opisuje Niemirowicz-Danczenko walkę pułku Tomskiego około pagórka zwanego „Dwurogim“.

„Biedny pułk Tomski! Na lewo od świątyni poniósł on ciężkie straty, odpierając jeden po drugim ataki japońskie i sam na własną rękę wszczynając akcyę zaczepną. Artylerya nieprzyjacielska zasypywała go pociskami do tego stopnia, że z oddali wydawało się, iż żywa dusza nie powinna



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Epizod walki o składy z prowiantami pod Mukdenem.



Z wojny rosyjsko-japońskiej. Rosyjski lazaret polowy pod Mukdenem.



Z wojny ros. - jap.: Dziewczyna chińska, pracująca w polu podczas walki artyleryi japońskiej z rosyjską.

wyjść stamtąd. Nad widzialnem z naszej strony zboczem zarosłego wzgórza, pękały całemi stadami szrapnele, granaty zaś, zakreślając wielkie kolisko, spowite w rudawe dymy wybuchu, padały hen daleko, siejąc zniszczenie w szeregach nadciągających rezerw.

Z lewej strony pracuje jenerał Zarubajew. Tam we mgle niebieskawej wąwozów i dolin górskich, słychać niemilknący ani na chwilę trzask rotowego ognia karabinowego. Jenerał Mau odpiera zalewającą go wciąż falę japońską i pułk Tomski ledwie już dyszy na wzgórzu ze świątynią. Korpusy dziesiąty i siedemnasty prowadzą zaciętą walkę artyleryjską przy pagórku „dwurogim“. W wąwozach przeszedł spiesznie pułk Nowoczerkawski, który wpadł od razu w największy zamęt bitwy między świątynią a sąsiedniem wzgórkiem. Tam walczył pułk Tomski na froncie, walcząc rozpaczliwie i opierając się zawzięcie zalewającej go fali Japończyków. Na pomoc rzucono mu jeszcze jeden pułk! Dopiero co przybył z Europy i idzie po raz pierwszy odebrać krwawy chrzest bitwy!

„Patrząc na tych młodych, pełnych życia żołnierzy, serce ściska żal, a mózg nurtuje pytanie: po co oni idą? Toć tylko śmierć rada będzie z tego świeżego łupu. A jak żołnierze ci nie są podobni do Sybiraków, nawykłych już i do huku dział i do trzasku karabinów i do ostrza bagnetów, do Sybiraków, idących spokojnie w swoich postrzępionych mundurach, naprzeciw śmierci niechybnej!... Wprost mnie ostrymi zarysami swego poszarpanego grzbietu, szarzeje wzgórze, które jeszcze wczoraj i dziś w nocy miał w swych rękach generał Riabinkin. Nad ranem musiał je oddać Japończykom i obecnie znajduje się ono pod gęstym ogniem dział naszych. Z pomroki dymów wyłania się jakaś zwarta, poruszająca się masa. To kolumna rosyjska idzie spróbować szczęścia: azali jej się nie uda odebrać wzgórza? Przez chwilę nic nie zakłóca spokoju. Żołnierze idą nie zbyt strojnie i nie zbyt śpiesznie, zdając sobie widocznie jasno sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Ale trwa to tylko chwilę.

Gdy już przekroczyli linię określoną, smugi ognia i dymu wykwitły z bateryj japońskich. Idące szeregi poczęły się łamać, nie przestając posuwać się naprzód. I tylko czarne punkciki ciał, pozostające w tyle, świadczyły, że śmierć rozpoczęła już swe straszne, tryumfujące żniwo.

Ryk dział rósł z każdą chwilą... Rzekłbyś — szalona burza rozpętała się nad światem. Czysty błękit nieba przysłoniły dymy, które nieprzeniknioną, ciężką oponą spowiły wreszcie i cały ten krwią ociekły szmat ziemi.

Co się tam działo w tem piekle!“

Taki wspaniały obraz tych walk dał nam Danczenko! To też z tego „piekła“ zostawała na pobojowisku kupa ciał, poszarpanych przez granaty i szrapnele, stosy ludzkich ofiar, które okupywały życiem odwrót armii na „dalsze pozycye“. Niemniej straszne sceny odbywały się w szpitalach polowych, zakładanych w nędznych lepiankach, stojących w miejscu, gdzie stosunkowo rzadziej padały kule armat nieprzyjacielskich. Tam znoszono rannych masami, kładziono ich na gołej ziemi i udzielano pierwszej koniecznej pomocy. Tu siostra z oddziału „Czerwonego Krzyża“ pomagała lekarzowi opatrywać rany. Na naszej rycinie przedstawiającej szpital polowy pod Mukdenem, widzimy jak wygląda taka pierwsza pomoc, udzielana pod gradem kul nieprzyjacielskich. Kilkunastu żołnierzy leży na ziemi z twarzami wykrzywionemi od bólu, spragnionych jakiego chłodnego napoju, któryby choć przynajmniej chwilowo zaspokoił ich gorączkowe pragnienie. Lekarz opatruje ranę na plecach jednemu z żołnierzy, a dwaj tragarze wnoszą na noszach rannego z pola walki. Przez okna wpadają ze świstem kule, nad dachem huczą granaty, a huk grających armat miesza się z jękami rannych i umierających w tej chacie, przemienionej na „szpital polowy“.

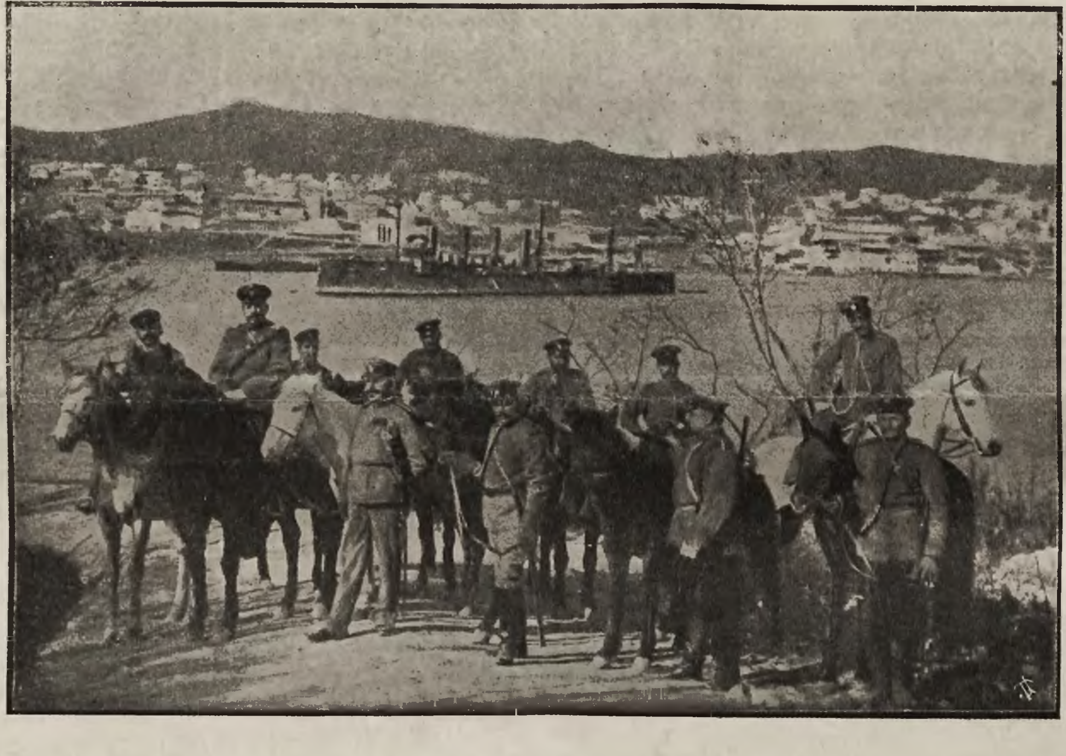


Z wojny ros.-jap.: Naczelnik (t. zw. tao-taj) osady chińskiej w Mandżuryi.

Zdziwicie się zapewne Czytelnicy, gdy dowiecie się, że w czasie walk wojsk rosyjskich z japońskimi, ludność chińska, z dziwną obojętnością oddawała się zwykłym swoim zajęciom około roli, a w pewnych wsiach pracowali Chińczycy na polach podczas kanonady artyleryjskiej, gdy baterye nieprzyjacielskie ostrzeliwały się wzajemnie i gdy w powietrzu słychać było tylko granie przeciągłe armat i świst lecących kul i kartaczy.

Oto na jednej z naszych rycin: mamy młodą dziewczynę chińską, pracującą w polu i oglądającą się za siebie, skąd lecą kule armatnie, świszcząc przeraźliwie ponad jej głową. W takich warunkach musi żyć i pracować ta nieszczęsna, ten lud, w którego kraju toczy się wojna.

Eskadra Rożdiestwieńskiego jest obecnie przedmiotem rozpraw i debat strategików, śledzących każdy jej ruch i krytykujących nieodpowiednie według nich manewry floty japońskiej. Według ich sądów admirał Togo popełnił bardzo wielki błąd, nie zaatakowawszy w cieśninie malajskiej floty rosyjskiej i pozwoliwszy jej swobodnie wypłynąć na morze chińskie. Obecnie flota rosyjska znowu zatrzymała się na wodach indochińskich,



Z wojny ros.-jap.: Oddział konny. z krążownika „Rossia“ rekognoskuje okolice nadbrzeżne Władywostoku.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Wejście Japończyków do Mukdenu.

wskutek czego rząd japoński postanowił zaprotestować przeciw takiemu postępowaniu Francyi, które łamie przepisy neutralności. Dzienniki japońskie wystąpiły gwałtownie przeciw Francyi i wzywają rząd, by należycie na takie zachowanie się rządu francuskiego zareagował. Flota rosyjska przeszło dwa miesiące przebywała na wodach Madagaskaru i wtedy złamała już Francya neutralność — a jeśli wówczas urzędowa Japonia nie dość energicznie protestowała, to dlatego, że działo się to wszystko daleko od terenu wojennego. Przebywanie floty rosyjskiej na wodach francuskich obecnie, znaczy że Rożdiestwieński porty francuskie obiera za swą podstawę operacyjną, a to równa się czynnemu popieraniu Rosyi przez Francyę. Dzienniki japońskie żądają, by rząd japoński



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Transport rannych żołnierzy rosyjskich, zdążających za armią.

gwałceniem neutralności wybrzeży anamskich, co mogłoby mieć dla Rosyi smutne następstwa. Krążyła wprawdzie pogłoska, że Rożdiestwieński został zapewne wskutek porażki, poniesionej w pierwszem starciu z Japończykami zmuszony szukać schronienia w Kamran, nie wydaje nam się jednak ta wieść prawdziwą, albowiem nie została potwierdzoną przez żadne poważne ani wiarygodne źródło.

Warto przypatrzeć się niektórym scenom z życia japońskiego, które wiele światła rzucają na ich charakter narodowy.

W Japonii zachował się z dawnych czasów zwyczaj, że od osady do osady chodzą ludowi opowiadacze, którzy informują lud o ważniejszych wypadkach narodowych i są niejako żywą kroniką tego, co naród przeżywa. Tacy opowiadacze byli autorami tych przepięknych opowiadań fantastycznych i baśni o bohaterskich czynach przodków, a dzisiaj opowiadają oni ludowi japońskiemu o walkach z Rosyanami, o bohaterskich czynach żołnierzy, oficerów, generałów, budząc swemi opowieściami zapał do walki i do poświęcenia się za ojczyznę. Gdy wybuchła wielka wojna, którą naród japoński prowadzi już od roku, rozbudziła się u ludu ciekawość i zrozumiałe pragnienie, by możliwie jak najdokładniej wiedzieć o przebiegu walki armii całej i drobniejszych oddziałów. I z armią wysłano na pole walki specyalnych ludowych opowiadaczy, którzy po powrocie mieli najszerszym warstwom opowiadać to wszystko, co tam widzieli i przeżyli. Wielu z tych ludowych „korespondentów" wróciło już obecnie do Tokio a niektórzy rozpoczęli już swoje opowiadania. Słucha ich nietylko lud i młodzież przejęta duchem patryotycznym, ale tacy opowiadacze bywają powoływani także do domów wysokich osobistości i urzędników państwowych



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Obwarowania artyleryjskie Rosyan na wzgórzu Putiłowa.

zwrócił się do Anglii i zażądał od niej równie czynnej pomocy, tak jak udziela jej Francya Rosyi, a to na mocy zawartego sojuszu.

Krążyła pogłoska, że Rożdiestwieński zawinął ze swymi okrętami do Sajgonu. Obecnie jest pewnem, że nie do Sajgonu ale do zatoki Kam-ran, przy wybrzeżu anamskiem zajechała eskadra bałtycka, a więc zatrzymała się przy wybrzeżu objętem prawami neutralności. Zatoka Kam-ran leży w oddaleniu 200 mil morskich na północny wschód od Sajgonu, poniżej wyspy Chanhoa. O ile Rożdiestwieński zatrzymał się tam na 24 godzin — to mu było wolno zawinąć do tego portu, jako neutralnego, ale jeśli zmuszony jakimiś, nam jeszcze nieznanymi okolicznościami, zamyśla w Kamran posiedzieć dłużej lub obrać tę przystań za punkt operacyjny, to byłoby to po-

Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że Rożdiestwieński zaopatrzywszy się w węgiel i żywność w Kam-ran, popłynie w stronę Formozy i będzie się starał koło wysp Pescadores, należących do Japonii, a leżących między lądem azyatyckim, przedostać się ku Władywostokowi. Tu najprawdopodobniej nastąpi starcie flot nieprzyjacielskich.



Wojna rosyjsko-japońska: Zaopatrywanie w opał armii generała Rennenkampfa, po odcięciu go od centrum armii przez Japończyków.

i tam w kole zaproszonych gości opowiadają o walkach bohaterskich żołnierzy japońskich. Niektórzy malują dzikie sceny walki, bohaterską śmierć i brawurowe ataki żołnierzy, nie umiejących się cofać przed żadną przeszkodą, inni opisują sceny szpitalne, konanie w mękach żołnierza lub oficera, którego bólom kres kładzie litościwa śmierć.

Dwa epizody mogą tu posłużyć za wzór, jakim duchem tchną te opowiadania, których lud słucha i które stanowią jego pokarm duchowy.

Było to po bitwie pod Nanshan — tak mówił jeden z opowiadaczy. — Tysiącami znoszono rannych z pobojowiska, lazarety były przepełnione, więc rannych umieszczano w okolicznych chałupach, gdzie zawsze jeszcze miejsca było dosyć. Noc już zaszła, a lekarze i dozorczynie szpitalne pracowały niestrudzenie, nie myśląc wcale o spoczynku. W tem przyniesiono wiadomość, że w jednej z chałup w sąsiedztwie umiera oficer i prosi o lekarza. Jeden z lekarzy wziął lampion do ręki i poszedł szybko do umierającego, a z nim udałem się i ja, za zezwoleniem władzy. Weszliśmy do ubogiej lepianki, której mroki rozświetlała stojąca na ziemi latarnia, a na ziemi, na barłogu, leżał umierający oficer z oczami napół zamkniętymi. Kiedy do niego zbliżył się lekarz, otwarł oczy szeroko i patrzał na nas z wyrazem twarzy spokojnym i zastygającym powoli. Lekarz, rozpoznając zbliżającą się agonię, zapytał go o ostatnie życzenia i polecenia, jakie chciałby przesłać rodzinie. Z trudem zdołał jeszcze powiedzieć:

— Dla siebie niczego nie pragnę, lecz powiedźcie rodzinie, że mojem ostatniem w godzinie śmierci życzeniem było, by syn mój mógł zostać oficerem i mógł umrzeć z honorem za ojczyznę!

Niemniej heroiczną scenę przedstawiał ludowi w Tokio inny z kronikarzy:

Transport rannych, wlokąc się po złych i nienaprawionych drogach, zdążał do Niuczwangu. Dzień był nadzwyczaj upalny i wyczerpanym żołnierzom sanitarnym, którzy na swych barkach nieśli nosze z rannymi, udzielano krótkiego wypoczynku. Zaledwie tragarze złożyli nosze z rannymi na ziemi, gdy lekarz wojskowy, towarzyszący transportowi, spostrzegł, że jeden z ciężko rannych, podniósłszy się z trudem z ziemi, starał się iść naprzód o swych siłach, opierając się na złamanej lancy. Zdołał jednak zrobić zaledwo parę kroków i upadł osłabiony na ziemię. Zapytany, co chce robić, odrzekł, że chce sam o własnych siłach odbyć resztę drogi do szpitala. Lekarz zwrócił mu uwagę, że jest to niemożliwe ze względu na jego ciężkie rany, odniesione w walce, ale on z uporem nie pozwalał się zabrać na nosze. Gdy lekarz i inni, zdziwieni tym dziwnym uporem, pytali go o przyczynę, odpowiedział krótko:

— Oglądnij pan ramiona niosących mnie żołnierzy, a nie będziesz pan pytał!

Lekarz zbadał ramiona tragarzy i okazało się wtenczas, że biednym żołnierzom sanitarnym od niesienia rannych pootwierały się na ramionach rany, a nogi ich na drodze pełnej wyboi tak się rozraniły, że oni sami powinni byli być zaniesieni do szpitali. Okazało się, że żołnierze sanitarni nie chcieli nikomu mówić o swych ranach, gdyż brakowało służby sanitarnej do obsługiwania rannych, którzy jęczeli w bólu na pobojowisku i po polowych lazaretach. Główna komenda wojskowa, dowiedziawszy się o tym wypadku, zarządziła, by odtąd przy każdym oddziale sanitarnym znajdowała się odpowiednia ilość kulisów chińskich, przeznaczonych dla transportów, a zadanie żołnierzy sanitarnych by ograniczało się do obsługiwania rannych tylko na polu bitwy.

Opowiadania te wymownie wskazują na stosunki, jakie panują w armii i jak traktują żołnierzy wyższi oficerowie.

KRONIKA LWOWSKA.

(Po świętach. — Ogólne zdrowie. — Co to było? — Obwieszczenie magistratu i jego skutki. — Hygiena we Lwowie. — Kwiecień a panie. — Klub samobójców a klub tyłobijców. — Nowe metody obliczania głosów. — Skutki tych metod. — Słówko o sportach lwowskich. — Co magistrat czynić powinien. — Ochrona sportów. — Najnowsza epidemia. — Wszystko na gumach. — Gumowe refleksye. — Delikatne powozy dla lekkich osób. — Ze spraw teatralnych.)

Święta przebyliśmy wesoło, hucznie, a co najważniejsze, zdrowo, bo prócz drobnych wypadków przejedzenia, skręcenia karku na ulicy Piekarskiej, rozprucia brzucha za drągiem żółkiewskim, ciężkiego pobicia w knajpie w rynku, wybicia oka w restauracyi na Zamarstynowskiej i kilku mniej senzacyjnych skaleczeń, samobójstw i ślubów małżeńskich, kroniki policyjne i szpitalne nie notują nic takiego, coby o braku zdrowia w mieście świadczyć mogło. Przeciwnie, okazało się, że nawet owe wszystkie wypadki zasłabnięcia, które wzięto z początku za epidemiczny tężec karku, są wprawdzie epidemiczne, ale nie niebezpieczne, bo pacyenci byli tylko aż do dna urżnięci i po przespaniu się w domu, w szynku, w kozie, w rowie lub w szpitalu — stosownie do tego, gdzie kogo choroba zastała — wyzdrowieli kompletnie i bardzo dobrze wyglądają. Owe zaś porządki, jakie nakazuje magistrat *ex re* ostatniej epidemii, były wobec tego zupełnie zbyteczne, ale znowu nikomu nie sprawiły kłopotów, bo nasza roztropna ludność nic sobie z obwieszczeń magistrackich nie robi, a o zaprowadzeniu porządku i czystości ani nawet w snach wielkanocnych nie marzy. Trudno bowiem na pierwszy lepszy rozkaz magistratu zaprowadzać zaraz jakieś porządki, zanim się człowiek przekona, czy jest jakiś słuszny i uzasadniony, naglący powód do tego i czy te porządki są istotnie tak nieodzownie potrzebne, że bez nich owa *meningitis*, czy jak jej tam na imię, nie może się obejść. Jak się więc okazuje, obwieszczenie magistrackie było przedwczesne, zgoła jeszcze niepotrzebne, a nawet wprost niebezpieczne z punktu widzenia hygieny, bo wystarczy ruszyć gromadzące się od szeregu lat śmieci, ażeby stokroć gorsze choroby nagminne wywołać.

Część Lwowa wyjechała świątkować na prowincyę, część prowincyi przyjechała na święta do Lwowa, a brzydki kwiecień nic sobie z tego nie robi, dając się każdemu we znaki i nie pozwalając pięknym paniom wystąpić na *corso* w całym wiosennym przepychu. A wszystkie przygotowały tyle pięknych nowości, tyle naprzykrzały się swoim krawczyniom, ażeby koniecznie na święta kostyum był gotów, tak myszkowały po wszystkich magazynach za nowościami sezonowemi, że teraz na płacz im się zbiera, gdy tego wszystkiego pokazać nie mogą. Gdyby obecna szaruga miała potrwać jeszcze tylko jeden miesiąc, kronika obłąkań i samobójstw zaobfituje w taką liczbę nieszczęśliwych faktów, jakiej nie zna Monte Carlo ani garnizon przemyski.

Jeżeli już mówię o samobójstwach, to muszę wspomnieć o świeżo u nas odkrytym klubie samobójców, który ma istnieć we Lwowie wśród obiecującej młodzieży, a który nie postarał się nawet o statuta, zatwierdzone przez namiestnictwo. Do klubu tego należą młodzieńcy, którzy w dociekaniu odwiecznej zagadki bytu, przejęci bolem istnienia, przekonani o swojej wyższości, jednem słowem nadludzie — przyszli do przekonania, że cały ten brudny świat i jego instytucye: egzaminy, dwójki, repetowanie, garbowanie skóry, zakazana miłość, różnica własności, pieniądz, etc., że wszystko to razem nie warte nic więcej, nad zwykłe kopnięcie nogą i celne wypalenie sobie z metarewolweru w nadgłowę, przy której to sposobności można łatwo i tanio, a bez pomocy lekarza, przedostać się tam, gdzie niepodzielnie panuje wolność, miłość i nieograniczony kredyt. W tym celu schodzą się kandydaci na samobójców w knajpie, grają na cytrze i deklamują wiersze, cicho piją piwo a głośno są pijani, raz na rok wylosowują tego, który ma skwitować ze świata doczesnego, a od czasu do czasu, przeważnie w nocy, chodzą gremialnie na cmentarz, ażeby się dowiedzieć, co porabia kolega-nieboszczyk, który przy ostatniem losowaniu dotrzymał słowa i palnął sobie w łeb. Tu wygłaszają mowy żałobne do nieboszczyka, a że ten rzadko kiedy na te przemówienia odpowiada, co ma oznaczać, że się z treścią przemówień zgadza, przeto ze śpiewem radosnym wracają klubowcy do miasta. Jak słychać, zawiązują ojcowie członków tego klubu inny klub, którego zadaniem będzie, metodą odtylcową (tak skuteczną i wypróbowaną przy karabinach) wypędzać członkom klubu samobójców ich ideę z odwrotnej strony, a akcya ta będzie mniej niebezpieczna, a więcej pożyteczna. Wtedy dopiero przyszli samobójcy zrozumieją i odczują ból istnienia i to w najboleśniejszem tego słowa znaczeniu, bo na własnej skórze. Klub ojców ma nosić skromną nazwę „klubu tyłobijców". Poszczególnych członków klubu samobójców nie zdołano dotąd wyłapać.

Natomiast stwierdzono z całą stanowczością, że nie należał tam żaden z członków naszej rady miejskiej, co nawet niektórych wtajemniczonych dziwić musi. Największym kłopotem naszej rady miejskiej są jeszcze ciągle wybory, a raczej skrutynium wyborcze. Im dalej w las, tem więcej głupstw. Rezultat wyborów nietylko nie jest jeszcze wiadomym, ale, jak się zdaje, już nigdy wiadomym nie będzie. Profesor Ciesielski wyczytał w jednym z krakowskich dzienników (do czego się *notabene* nie przyznał) że należy inaczej obliczać głosy, mianowicie ustalić absolutną większość tak, że ci, którzy mieli przyjść do ściślejszych wyborów, będą mogli wprost wejść do rady. Na to ci, którzy otrzymali tak małą liczbę głosów, że nawet do ściślejszych wyborów nie przyjdą, wynaleźli całkiem nową metodę obliczania głosów, dzięki której, będą mogli wejść do rady miejskiej wszyscy obywatele miasta Lwowa wraz z synami, wnukami i czeladzią. Te wszystkie jednak nowe metody obliczania głosów będą miały ten skutek, że skrutynium nigdy się nie zakończy, dawni radni zasiedzą się na śmierć w ratuszu, a nowowybrani radni nigdy się do rady nie dostaną i po najdłuższem życiu będą musieli swoje mandaty przekazać w testamencie, razem z kamienicami i długami, swoim potomkom.

Jeszcze niema ustalonej pogody, a ulice zaroiły się już od rowerów, motocyklów i automobilów. Sportsmeni lwowscy wysypali się na bruk w tak wielkiej liczbie, że musi to radością napełnić serce każdego dobrze myślącego mieszkańca. Ale u nas ludzie nie znają się na grzeczności i wychowaniu i nie umieją ocenić znaczenia sportu. Oto przechodnie z karygodną, a oburzającą lekkomyślnością, przeszkadzają rozmaitym sportowcom, którzy zmuszeni są w nagłym przejeździe potykać się o jakieś ciała pieszaków, rozbijać się i przewracać, przejeżdżać drugich i kaleczyć bez końca. A jednak powinien świetny magistrat wziąć raz w obronę biednych spotsmenów i bodaj dla przykładu ukarać surową grzywną pieszych przechodników, którzy przecież mogą jeździć fiakrami i tramwajami, a nie wałęsać się pieszo po ulicach i tamować postęp i cywilizacyę. Taki rower z wygiętym w kabłąk cyklistą, taki automobil, szerzący przed sobą popłoch trąbieniem i turkotem, a zostawiający za sobą dużo kurzu i trochę smrodu, to przecież postęp XX wieku, to cywilizacya, której nasi przodkowie nie znali, a którą my winniśmy uszanować...

Ostatnim sportem *non plus ultra* jest u nas obecnie jeżdżenie na gumach, tak zwanych *gummiradlerach*. Jeżdżenie fiakrami o gumowych kołach jest obok *meningitis* najbardziej zatrważającą epidemią ostatnich czasów we Lwowie. Dla niektórych, dotkniętych tą chorobą osobników, stał się ten sport tak koniecznym, że gdyby bodaj raz na dzień nie przejechali się przez miasto na gumach, nie mogliby spokojnie zabrać się wieczorem do poważniejszej pracy, jak do ferbla i t. p. Jeżdżenie na gumach stało się już nietylko kwestyą tonu, ale kwestyą społeczną, a ludzie, którzy zmuszeni są jeździć zwykłymi fiakrami, nastawiają kołnierze od paltotów, zasuwają kapelusz aż po uszy i robią wszystko możliwe, ażeby ich nie poznano, bo grozi im kompromitacya aż do czwartego pokolenia. Gdybyś zaś szanującemu się człowiekowi, zwłaszcza z towarzystwa, publicznie zaproponował przejażdżkę zwykłym fiakrem, zapozwałby cię do sądu karnego o przekroczenie z § 496 ustawy karnej, albo przysłałby ci sekundantów.

Jaki weźmie obrót owa epidemia gumowa, nie da się jeszcze dziś przewidzieć, ile, że władze nic dotąd nie uczyniły dla jej zaradzenia. Złe skutki są już dziś widoczne i to nietylko na ludziach, ale i na zwierzętach. Konie, używane do gumowych powozów, spoglądają z pogardą na wszystkie inne konie fiakierskie, nabierają maniery, a że i robota ciężka im nie smakuje, a nadto powozy są zbyt delikatne, przeto wożą po największej części tylko lekkie osoby: lekkich t. j. gołych panów i lekkie kobiety... nawet bardzo lekkie... te najlżejsze.

Kwestya dyrekcyi Solskiego w Krakowie jeszcze ciągle zaprząta umysły teatromanów, a zainteresowanie jest tak wielkie, jakiego nie pamięta najstarsza chórzystka operetki lwowskiej — najmłodsza pamięta dzieje teatralne ostatnich lat czterdziestu... Łączą z tem rozmaite, mniej lub więcej prawdopodobne, wersye. Niektórzy twierdzą, że Solski bierze teatr dla Pawlikowskiego, który za rok będzie wolny we Lwowie i będzie mógł przenieść się do Krakowa. Pawlikowski nie zamierza podobno pozostać we Lwowie nadal, gdyż jest to zbyt wielka fabryka, przechodząca siły i kieszeń jednego człowieka. Warunkiem *sine qua non*, ażeby Pawlikowski pozostał we Lwowie, jest umiastowienie, lub ukrajowienie teatru lwowskiego. A że do tego daleko, więc oczekujcie go w Krakowie na *pe*.

Klewe.

FATALISTA

podług Lermontowa

SKREŚLIŁ **ALEKSY M.**

(Dokończenie).

— Zaczekaj stary! Co się stało? Czego wy tak wszyscy uciekacie?

— Kozak się wściekł na targu, wasza miłość — odpowiedział Gruzin — piana mu jak psu toczy się z pyska, szabli dobył i rąbie wszystkich, których napotka. Achmetów dziecko jednem cięciem przerąbał na pół, świnię Newelikowów skłuł, Fatymę ciął tak, że aż cały mózg wyprysnął jej z czaszki.

— Gdzie on jest?

— Ot goni, wasza miłość! — szepnął z przerażeniem starzec. wskazując dłonią na skręt uliczki, na którym ukazała się olbrzymia postać żołnierza, ubranego w krasny mundur kozacki.

Kozak szedł szybkim, choć chwiejnym krokiem, wymachując skrwawioną szablą. Oczy błyszczały mu dzikim szałem, spienione usta miotały straszne przekleństwa.

Oficer spojrzał na niego i dreszcz dziwny przeszedł jego ciało. Jakiś wewnętrzny głos szepnął mu, żeby uciekał, ale Czerkies pokonał tę chwilową trwogę i ruszył wprost na szaleńca.

— Co to jest? — krzyknął, patrząc mu groźnie w oczy — co ty wyrabiasz kozacze? Oddaj mi zaraz szablę i marsz na kwaterę!...

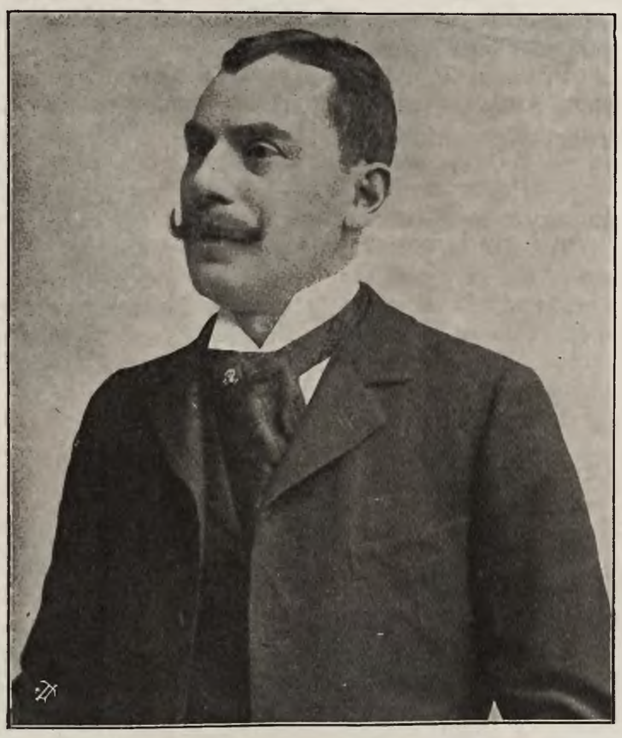
I Roztruchanow wyciągnął rękę po szablę kozaka.

Ten spojrzał na oficera. Dzika radość zaświeciła naraz w jego źrenicach. Dłoń uzbrojona w szablę podniosła się w górę i zanim Czerkies zdołał uskoczyć, zanim zdążył dobyć pałasza i zasłonić się od ciosu, spadła na jego głowę z szalonym rozmachem...

Krew jak struga wody z fontanny trysnęła w górę i Osip Iwanowicz Roztruchanow bez jęku zwalił się na ziemię, jak dąb podcięty toporem drwala.

W pobliskiej uliczce rozległy się szybkie miarowe kroki: to patrol służbowy pod wodzą Nebogatowa; na wieść o szalonym kozaku szedł w pościg za nim. Kozak, dojrzawszy mundury, chciał uciekać, ale już było zapóźno. Nebogatow dojrzał całą grozę sytuacyi i padła komenda:

— Broń do oka! cel...



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Stanisław Hierowski.

— Pal!...

Huknęło sześć strzałów szaleniec przeszyty sześcioma kulami z przeraźliwym krzykiem legł koło swej ofiary.

Drgał jeszcze w przedśmiertnych kurczach, gdy Nebogatow przyklęknął koło konającego kolegi, z którego piersi dobywało się straszliwe rzężenie.

— Roztruchanow bracie! Roztruchanow! — zawołał z rozpaczą Nebogatow.

Konający otworzył oczy, posłyszawszy ten głos, uśmiechnął się smutnie i zebrał wszystkie siły, żeby wyciągnąć dłoń do kolegi.

— A co, Nebogatow – szepnął — a co, nie mówiłem wam?... Ot, widzisz... fatalizm... wierzysz ty ter...

Niedokończył, bo śmierć wraz z duszą jego zabrała i tę cząstkę ostatniego wyrazu.

KONIEC.

Stanisław Hierowski.

Powaga i duma lwowskiej sceny i jeden z najtęższych jej filarów od lat dwudziestu pięciu... Aktorem jest lat trzydzieści i kilka, a nic dotąd nie uronił ze swej świeżości i siły...

Po ukończeniu szkół we Lwowie i krótkiej wędrówce po prowincyi, wstępuje w roku 1874. na scenę krakowską, gdzie z olbrzymiem powodzeniem debiutuje jako Karol Moor w Zbójcach, za dyrekcyi Koźmiana. Następnie idzie do Poznania, wraca do Krakowa za Koźmiana i Rychtera, a wreszcie przybywa na stałe do Lwowa, gdzie — jak wyżej wspomniałem — bawi od lat dwudziestu pięciu stale za wszystkich dyrekcyi, jakie się przez ten czas przez scenę przesunęły.

Jakie grał role? Wszystkie, począwszy od lekkich amantów (Romeo), a skończywszy na ponurych bohaterach lub intrygantach („czarne charaktery" — Jago etc.) Grał dotąd przeszło dwa tysiące ról, a z tych każda główna, tytułowa, pierwszorzędna, kilkudziesięcioarkuszowa... Po większej części grywał i bohaterów, drugoplanowych rzadziej, w Szekspirze i innych klasykach niezbędny... Gdyby go był znał Lessing, byłby mu z satysfakcyą poświęcił kilka nader pochlebnych rozdziałów w swojej „Hamburgskiej dramaturgii", a osobny rozdział napisałby o tubalnym głosie pana Hierowskiego... Pod tym względem nie ma sobie równego na lwowskiej scenie, a mógłby śmiało stanąć do rekordu z niejednym z zagranicznych światowej sławy artystów.

Okoliczność, że artysta ten nadaje się – jak to mówią – do wszystkiego, jest powodem, że pomimo znacznej zmiany w obecnym kierunku teatru, pan Hierowski nie schodzi z afisza. W każdej ważniejszej sztuce jest, a tam gdzie jest, zajmuje rolę pierwszorzędną.

Co najciekawsze, to to, że ani w grze ani w wyglądzie zewnętrznym nie znać ani śladu znużenia, pomimo tyloletniej i tak intenzywnej pracy... Nawet głos zachował swą dawną, omal przysłowiową siłę...

Może to owa tajemnica wielkich artystów, a może ma tu wpływ kancelaryjka Nr. 44., gdzie p. Stanisław stale wstępuje gwoli odświeżenia ducha...

W historyi polskiej sceny zajmie kartę jedną z najpiękniejszych... *Klewe.*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

Nieszczęśliwy wypadek.

Powoli, majestatycznie zbliżał się do brzegów przystani w Hamburgu ogromny parowiec amerykański, wiozący setki osób z jednej półkuli na drugą. Pasażerowie pierwszej i drugiej klasy, wiedzący dobrze, że tego dnia rano mają wylądować prawie u świtu opuścili swe kajuty i rozsiadłszy się na pokładzie z niecierpliwością oczekiwali tej chwili, w której na widnokręgu zarysują się wieże starożytnej stolicy Hanzy, zwiastując im koniec męczącej bądź co bądź podróży.

Wśród tego tłumu ludzi, przechadzającego się gorączkowo po pokładzie, zwracał przedewszystkiem na siebie uwagę mały staruszek o białych jak mleko włosach i wyrazistej twarzy, niby bronz spalonej przez słońce. Ani minuty nie mógł ustać spokojnie na jednem miejscu i co chwila zwieszał się ponad parapetem okrętu, wytężając wzrok tak jakgdyby chciał swemi błyszczącemi oczyma przeniknąć mgłę, która przysłaniała widok. otuliwszy parowiec gęstym tumanem. Tuż obok niego stało młode dziewczę, mogące liczyć najwyżej lat ośmnaście. Twarzyczka podobna do aniołków Murilla, z splotami czarnych włosów, duże niebieskie oczy, w których przebijała się jakaś zaduma, robiły na widzu miłe wrażenie i każdego musiały dobrze usposobić dla ich właścicielki. Kształtna, smukła, ale mimo to dobrze rozwinięta postać dziewczęcia, zarysowująca się z pod eleganckiego podróżnego płaszcza, wolno skrojonego na angielski sposób, dopełniała tej pełnej wdzięku powierzchowności. Młode dziewczę drobną rączkę sparło na ramieniu staruszka, jakgdyby chciało go skłonić do zapanowania nad sobą, do cierpliwości, ale i jej spojrzenie biegło w stronę lądu; i ona zdawała się z pragnieniem oczekiwać tej chwili, w której brzegi niemieckie z pośród mgły wyłonią się wreszcie...

Tuż obok tej pary, której zachowanie wskazywało jasno, że ma się przed sobą ojca i córkę, stał chudy wysoki mężczyzna, który o głowę przerastał wszystkich swych towarzyszy. Jego twarz o wystających kościach policzkowych, okolona długimi rudawymi faworytami, sztywność całej postaci i chłodne, pełne spokoju i dumy zachowanie się wskazywały bez żadnej wątpliwości, że człowiek ten był synem pochmurnego Albionu.

Istotnie, mister Perker wsiadł dopiero w Plymonthcie na okręt, który zatrzymał się na parę godzin w tym porcie dla wyładowania pasażerów i uzupełnienia zapasów węgla, a widocznie nie myślał ruszyć po za Hamburg, bo cały jego pakunek składał się z małej ręcznej walizki i pledu, bez którego żaden szanujący się Anglik nie zrobi kroku z domu.

W czasie tej swojej krótkiej podróży mister Parker nawiązał ścisły stosunek znajomości z panem Springerem i jego córką. Staruszek cieszył się z tego nie mało, bo w Anglikn znalazł wybornego towarzysza podróży, który wprawdzie poważnie milczał i czasami tylko wtrącił do rozmowy jakąś monosylabową uwagę, ale za to z niezmordowaną cierpliwością słuchał jego opowiadań. A pan Springer miał co opowiadać, bo dwadzieścia sześć lat spędził na drugiej półkuli i po ćwierć wieku wracał dopiero do swojej ojczyzny.

I teraz mimo ogólnej gorączki, która owładnęła wszystkiemi pasażerami, mister Parker nie stracił swego spokoju, lecz jak zwykle tylko kiwaniem głowy odpowiadał na wszystkie okrzyki pana Springera i dopiero, gdy ten zaczął mówić o opaźnianiu się parowca, dobył z kieszeni złoty zegarek.

— Za dwadzieścia pięć minut przybijemy do brzegu mister Springer — rzekł łamanym niemieckim językiem – a zatem dopiero za kwadrans będziesz pan mógł dojrzeć brzegi swojej ojczyzny!

– Co? co? — zawołał prawie z oburzeniem staruszek — dopiero za kwadrans?!.. No! przyznam się, że mi już jest za dużo tego pływania w tej misce wody zwanej oceanem!..

Otaczający ich roześmiali się głośno, słysząc ten wybuch staruszka. Helena pochyliła się nad ojcem, prosząc go szeptem, aby się uspokoił, a Anglik, zapiąwszy swój długi płaszcz aż pod brodę, odezwał się flegmatycznie.

— Co raz zimniej zaczyna być na pokładzie mister Springer i doprawdy lepiej, żebyśmy zeszli do kajuty, niż gdybyśmy mieli się tutaj przeziębić!..

Ale staruszek nie chciał nawet słyszeć o czemś podobnem, zwłaszcza, że jakby na przekór wszystkim wróżbom Anglika silny podmuch wiatru rozproszył mgłę i w dali na widnokręgu ukazały się ciemne sylwetki wież Hamburga. Okrzyk radości zabrzmiał na całym okręcie. Springer rozentuzyazmowany podrzucił kapelusz w górę, a w oczach Heleny ukazały się łzy, tak, że zmieszana ukryła twarz na piersi ojca.

Skończyło sią niecierpliwe oczekiwanie. Las masztów ukazał się oczom podróżnych. Brzegi przystani stawały się coraz bardziej widoczne, aż wreszcie olbrzymi parowiec drgnął i stanął przy ogromnym moście, który łączył przybywające statki z przystanią. Na pokładzie parowca zawrzało teraz gorączkowe życie. Każdy chwytał czemprędzej swoje pakunki i nie żegnając się nawet z tymi, z którymi czas podróży spędzał na pogawędce, spieszył się, aby w jak najkrótszym czasie dotrzeć do brzegu.

Wyjątek stanowili tylko Springerowie i mister Parker. Anglik, który sam nie miał prawie żadnych pakunków, wbrew zwyczajom swoich ziomków sam ofiarował się pomódz Springerom w odbieraniu ich kufrów i walizek.. których mieli potężną liczbę, a chociaż nie władał dobrze językiem niemieckim, to jednak przyjęte na się zadanie spełnił tak szybko, zręcznie i tak umiejętnie wywiązał się z niego, że Springerowie sami nie wiedzieli, jak mają mu za to podziękować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LINA BEZPIECZEŃSTWA.

HUMORESKA.

Pani Lucyna K. była to kobieta w całem słowa znaczeniu szczęśliwa, o ile słowa tego znaczenia odnosimy do pozycyi towarzyskiej, poważania ogólnego, dobrobytu etc.

Pani Lucyna jest od pół roku żoną jednego z wybitniejsyych dostojników w mieście, prowadzi dom na wielką skalę, a salon jej jest zbiornym punktem najlepszego towarzystwa.

Zastanowi to zapewne czytelnika, że mówimy dotychczas tylko o pani Lucynie, nie wspominając wcale o jej zacnym, a nie mniej ogólnego szacunku zażywającym małżonku.

W toku dalszego opowiadania postaramy się dowieść, że pozorna ta niewłaściwość – była właśnie bardzo na miejscu.

Tymczasem wracamy do pani Lucyny.

Pani Lucyna K. była to kobieta w całem słowa znaczeniu nieszczęśliwa — o ile słowa tego znaczenie odnosimy — do jej małżeństwa („O! o! to zaczyna być interesujące!“ — domniemany wykrzyknik czytelnika).

Tak jest! pani Lucyna, młoda urocza, romantyczna 20-letnia kobietka miała męża... („A! jest nareszcie i mąż!“ — drugi domniemany wykrzyknik czytelnika). — Ale jakiego męża! Na fizyczny i moralny całokształt tego indywidyum składało się: 63 lat wieku (z tego 30 lat miejscowej służby w urzędzie) 2 kamienice (z tych jedna z oficynami), łysina, egoizm, podagra i 4 ordery (z tych jeden od egzotycznego księcia Ama-Fiufiu).

Czyż będziemy się jeszcze dziwili, że pani Lucyna K., pomimo pozorów szczęścia, była jedną z najnieszczęśliwszych kobiet w mieście?

Pocieszmy się jednak! Bo i pani Lucyna umiała się w ciężkiej swej doli pocieszać.

Nie myślmy jednak nic przy tem złego — broń Boże! Ot! jeden marny kuzynek pani i dwóch przyjaciół męża. Oto i wszystko.

Pani Lucyna miała po za tem za wiele poczucia własnej godności, honoru, taktu i innych pięknych, a cennych zalet charakteru, by mogła w niewinnym flircie przejść poza demarkacyjną linię serdecznej towarzyskiej uprzejmości względem trzech swoich adonisów.

Bawiło ją to współubieganie się o jej względy trzech młodych ludzi, z których jeden nie mógł się niczem więcej pochwalić od drugiego, a drugi od trzeciego — a wszyscy razem wzięci — nie mogli się pochwalić niczem.

Z czasem jednak kuzynek młodej mężateczki — został przeniesiony ze stolicy do małego miasteczka na urząd — a przyjaciel pana domu Nr. 1, dając za wygraną, przestał bywać w domu państwa K., jakiś czas nosił się z kombinowanemi zamiarami samo- i z-bójstwa, aż wreszcie w przystępie najwyższej rozpaczy oświadczył się o rękę niemniej młodej i powabnej przyjaciółki pani K., a posażnej wdówki, pani Matyldy.

Na placu boju pozostał więc tylko przyjaciel pana domu Nr. 2 — pan Artur, żywiąc niepłonne nadzieje pozyskania serca cnotliwej mężateczki.

Właśnie gdy p. K., rozwalony wygodnie w fotelu przed kominkiem, chrapał jak najęty (było to najulubieńsze zajęcie czcigodnego staruszka), otóż, jak powiadamy, gdy pan K. spał w fotelu, pani domu z robótką w ręce siedziała opodal pod oknem, a pan Artur tuż obok stóp jej wzdychał na niskim taborecie — wywiązała się między tymi ostatnimi mniej więcej taka rozmowa:

— Pani!... od dawna pragnąłem zrobić ci wyznanie...

— O! milcz pan, czyż nie wiesz, że mąż mój tu.....

— Chrapie na fotelu?... Czy naprawdę interesuje panią bardzo ta śmieszna figura?

— Mój panie – mój mąż...

— O nie kończ pani! wiem, co chcesz powiedzieś – dokończę za ciebie: nie jest godzien, by posiadać taki skarb za żonę! Ja kocham cię!... Lucyno! masz piękną, wzniosłą duszę! Czy nie śniłaś nigdy o tem, by dusza twoja znalazła silne ramię, na którem oparta...

W tej chwili z fotelu odezwało się głośniejsze chrapnięcie i pan K. się obudził, przerywając w najniewłaściwszem miejscu interesujący ten dyalog... Co mu się zresztą dziwić? Ten człowiek był zawsze samolubem!

Podobne sceny powtarzały się odtąd już regularnie codzień. Otóż pewnego dnia, gdy pan K. według zwyczaju chrapał na fotelu, a pan Artur jęczał na taburecie — młoda mężatka nie spuściła skromnie oczu na dywan – jak zwykła była czynić przy gorętszych zwrotach oświadczyn interesującego młodzieńca.

Przeciwnie! Podniosła płomienne oczy na pana Artura i rzekła z cichym namiętnym akcentem:

— A więc dobrze!... wykradnij mnie pan!

— Co? wykradnąć? — bąknął trochę zdetonowany młodzieniec.

Tak jest!... przekonała się już ostatecznie! Nie może, nie powinna. nie wolno jej dłużej marnować młodych lat i urody swej u boku człowieka, który etc. Tak jest, powierza losy swoje panu Arturowi, który ma ją porwać czy uwieść. a najlepiej zawieźć w zaczarowane krainy miłości, fantazyi i poezyi!

— A więc dobrze! pojedziemy do tej fantazyi.

— Nie! to nie było jego marzeniem!... Takie małe, ciche wiarołomstwo, takie małżeństwo we trójkę — całkiem spokojne, dyskretne — o to! to owszem, to było w jego guście. Ale brać sobie na kark cudzą żonę. Ho! Takim waryatem jeszcze nie był!

Z trudem tylko udało mu się odwieść młodą kobietę od tego szalonego — w jego mniemaniu postanowienia.

— A zresztą — dodał – uwiedzenie już dzisiaj zanadto się spospolitowało. Wyszło to już z mody nawet w romansach, nie mówiąc już o powieściach modernistycznych.

Zgodzili się wreszcie na taką małą podróż 14 dniową. Ona powie mężowi, że jedzie w odwiedziny do ciotki — on ją będzie oczekiwał na dworcu...

— Postanowiono jechać — do Zakopanego...

Zamiary zakochanych powiodły się znakomicie i nazajutrz znaleźli się już razem w nocnym pociągu śpieszącym do Zakopanego.

Gdy już byli sami, młodzieniec, nie tracąc czasu upadł na kolana przed ubóstwianą panią Lucyną, ponawiając swoje zapewnienia miłości i wdzięczności, za tak ryzykowny krok ze strony młodej mężatki.

Pani Lucyna była jednak tak śpiąca, że ledwie usiedzieć mogła na miękkich poduszkach I klasy.

— Mój drogi — przemówiła słodko, smutnym głosikiem – pozwól mi się przespać przedewszystkiem, a potem będę cię słuchała, choćby do samego Zakopanego!

— Lucyno! jesteś okrutną — jęknął zmieszany trochę Artur.

Musiał się jednak zgodzić z smutną koniecznością, tem bardziej, iż sam widział, że ukochana nie kłamie. Jej cudno blond główka zaczęła z nieporównanym wdziękiem kiwać się w takt poruszeń pociągu, aż wreszcie opadła na wezgłowie wagonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

REBUS.



Szarady.

I.

ułożył W. K.

Bez *pierwszych* nie byłoby kolei na świecie.
Druga zwykła litera w polskim alfabecie,
Jaka ma być *całość* – wiedzą wszystkie panie,
Więc mówić nie trzeba, bo to ich zadanie!...

II.

Ułożyła Marya Strońska.

Pierwsza i *czwarta* w dawnych czasach cudu
Była zesłana dla głodnego ludu.
Trzecia i *pierwsza*, tam, gdzie wody cieką,
Ale od źródła zawsze jest daleko;
A to jest także rzecz uwagi warta,
Że zwykle przy nich *druga, trzecia czwarta*.
Trzecia i *druga* ponad mórz falami;
Trzecia i *czwarta* nie rwie się palcami.
Całość już dawno uszom znaną była,
Potem ucichła – dziś z modą wróciła!

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach — zamiast liczb wstawić litery, aby z otrzymanych 14 wyrazów, początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko sławnego poety polskiego, końcowe zaś, czytane w tymże kierunku – tytuł utworu tegoż poety.

Kombinacye:

11	1	8	3	5	3	14	7		
14	8	21	3						
21	1	7	8	3	10				
2	3	8	14	16					
3	22	13	8	3	15	20			
9	1	8	14	13	9	13			
6	8	4	5	20	1	22	23	12	18
14	8	15	1	21	13	9	21	14	
21	3	8	18	20	10				
3	17	3	8	13	3				
18	20	1	16	3	8	9	5		
22	14	16	1	8	21	3			
2	4	14	21	13	4	21	15		
20	16	21	20	9	2	14			

Znaczenie wyrazów:

1. Król izraelicki.
2. Rzeka we Włoszech.
3. Myśliwy.
4. Zwierzokrzew.
5. Część umundurowania kawalerzysty.
6. Róg skamieniały.
7. Miasto w Królestwie Polskiem.
8. Rzeczpospolita w Ameryce.
9. Poeta i literat.
10. Miasto w Portugalii.
11. Zwierzę ssące.
12. Miasto we Włoszech.
13. Prowincya w Chinach.
14. Poetka Polska.

Zadanie literackie.

a	a	a	a	a
a	a	a	a	a
a	b	b	c	c
d	d	e	e	e
e	e	f	g	i
i	j	k	k	k
k	k	k	l	m
m	m	n	n	n
n	n	n	n	o
o	o	o	ó	ó
p	p	p	p	r
r	r	r	r	s
s	s	s	s	ś
t	t	t	t	t
u	u	u	u	u
u	u	w	w	y
y	y	y	z	ż

Z załączonych liter ułożyć 17 wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego polskiego publicysty i estetyka.

Znaczenie wyrazów:

1. Utwór Niemojewskiego.
2. Pseudonim nowelistki polskiej.
3. Forma utworu poetyckiego.
4. Malarz polski.
5. Tygodnik humorystyczny.
6. Imię bohatera tragedyi Gutzkowa.
7. Powieściopisarz francuski.
8. Artystka sceny polskiej.
9. Powieść Sienkiewicza.
10. Dramat Goethego.
11. Jeden z bohaterów „Quo vadis“.
12. Rodzaj artyzmu.
13. Forma utworów poetyckich.
14. Pseudonim nowelisty.
15. Pseudonim poety.
16. Pseudonim powieściopisarki.
17. Sztuka piękna.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Autor“, powieść.

Rozwiązania z Nru 16.

Rebus: U panów życie, to pasmo rozkoszy.
Szarada: Kabarety.
Logogryf: Stefan Żeromski – Ludzie bezdomni.
Arytmogryf: Walery Eliasz Radzikowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: M. Opolska Czarny Dunajec, Z. Gocka Rożniatów, M. Cetera Dubiecko, J. Zenwirt Klimkówka, M. Buczyńska Kraków, K. Chłopicka Zawałów, W. Kisielewski Stryj, K. Fuchs Peczeniżyn, S. Szwabowicz Żurawno, A. Medweczky Pasieczna, Pepita Zakopane, S. Kaczkowski Witków, A. Mielnik Rozwadów, K. Chodkiewicz Zbydniów, Smaga Śniatyn, M. Sędzimirowa Krakowiec, I. Talaga Lwów, R. Żabka Biała, L. Maruszczak Jezierzany, T. Wasiewiczowa Baranów, L. Przeweźniczek Sieniawa, S. Łaszkiewicz Słotwina, M. Ochocka Kalinowszczyzna, M. Zollnerówna Tarnopol, G. Jakoby Lwów, J. Habermann Mikulińce, S. Grabowski Podgórze, B. Ramułtowa Jeżów, M. Arbesbauer Lwów, A. Lefart Kraków, F. Josefert Kraków, Stadnik Grabiny, Remiszewski Załawie, M. Gawlicki Kraków, A, Ulrich Kraków, Piasecki Kraków, Dobrzyniecki Widynów, Ks. J. Halkiewicz Chodowice, J. Domain Brzozów, W. Kamiański Sokal, Horoszewiczowa Sieniawa, A. Bassara Niwiska, J. Duszyński Niepołomice, J. Biegoń Ślemień, Z. Olszewski Dubowce, H. Mokrzycka Turbia, A. Huzarowa Byczkowce, M. Zintlowa Brody, Z. Rokicka Stanisławów, T. Mytych Ostrowy, Ligęzianka Rybna, E. Bogdalska Koropuż, H. Zielińska Olejów, Boratyńska Konary. F. Ungeheuer Rzeszów, H. Ulrych Chorzelów, S. Zaruski Zakopane, M. Różański N. Sącz, M. T. Rzącewa Kraków, H. Dydacka Żurawno, J. Badura Rożdzień. St. Śliwa Gorlice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Stadnik w Grabinach. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Park Krakowski w Krakowie

Z dniem **30 kwietnia** r. b., niżej podpisany Zarząd oddaje do użytku Szan. P. T. Publiczności Park Krakowski po gruntownem doprowadzeniu go do porządku. Do dyspozycyi P. T. Amatorów 3 oddzielne kręgielnie z wszelkiem ulepszeniem urządzone, a także 3 Lawn Tennisy. – Strzelnica. – Łodzie. – Huśtawki. – Karuzel. – Zwierzyniec. Kuchnia we własnym zarządzie. – Piwo okocimskie i pilzneńskie. – Piwnice zaopatrzone w wyborowe gatunki win, koniaków, wódek krajowych i zagranicznych. – Oświetlenie elektryczne.

Od 14-go maja r. b. rozpoczyna się perjodyczny szereg przedstawień

TEATRU ROZMAITOŚCI.

Bliższe szczegóły doniosą afisze.

Najdogodniejszy dojazd tramwajem.

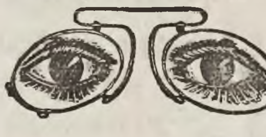
Zarząd Parku Krakowskiego wynajmuje tenże na wszelkie festyny i zabawy po bardzo przystępnych cenach.

Zgłoszenia przyjmuje się na miejscu.

A. Frass i Ska.

---

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS
optyk i mechanik
Kraków, ul. Grodzka l. 6.

P. P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom jeszcze 10% opustu. 1-?

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.

Firmy: **F. & E. Zajączek i Lankosz**

poleca: **sukna, sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki, filce dywanowe, flanele wstąpione. wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki.**

Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3, w **Krakowie**. Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtownej i drobiazgowej.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

Oryginalne SINGERA

Należy uważać na markę fabryczną

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone)
otrzymały
Oryginalne Singera maszyny do szycia
za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót
najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix"
Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ul. Jagiellońska. Chrzanów: Mickiewicza.

4

Panowie i Panie
wszystkich stanów,
mogą wszędzie jako dochód uboczny do 300 Kor. miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p.
Bliższa wiadomość pod M. 14 przez firmę: Karol Wörfel, Nürnberg, Austrasse 76.

„Merkury" GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego" w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

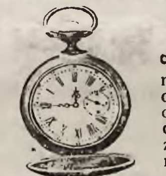
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Ważne dla PP. Sudentów. Przyjmuję wszelkie roboty w zakres krawiectwa wchodzące, a szczególnie jestem specyalistą do uniformów studenckich, które wykonuję po cenach przystępnych i polecam się względom PP. Studentom.

LUDWIK TATKA
krawiec cywilny i wojskowy
ul. Sienna 12 II. piętro.



Proszę żądać
darmo i opłatnie
mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych

HANNS KONRAD
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW
w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem
za pomocą gorącego powietrza
odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości
po cenach bardzo przystępnych.
Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy
codzień świeżo
paloną kawę 2—14
opłatnie.

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

Na sezon obecny polecamy P.T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:

„PUCH RAD"

firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FARRYKI ROWERÓW W GRACU.

Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:

„METEOR"

jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Główny skład sprzedaży Cegiełek węglowych „ANNA" Kraków, ul. Pawia 12 Telefon 59.



Salonowe Cegiełki węglowe „ANNA"
najlepsze, najczystsze, i najtańsze paliwo. Nadają się do każdego pieca, 15—20 sztuk dziennie wystarcza do opału pokoju.

Salonowe Cegiełki węglowe „ANNA"
sporządzone są z czystego węgla, nie dymią i nie zalewają rusztów, spalają się bezwonnie, ułatwiają kontrolę.

Za 1000 szt. z odstawą do domu K16, najmniejsza dostawa 500 szt.

Główny Skład Sprzedaży Cegiełek węglowych (w składzie węgla) ul. Pawia 12 Telefon 59.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14





Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr. } wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!

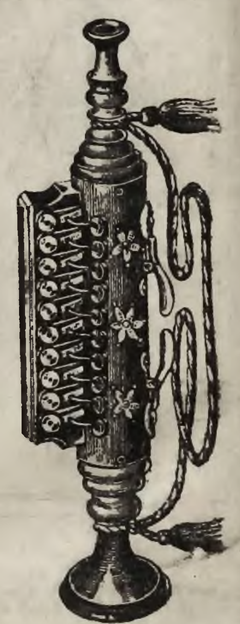


Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.



Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre"
Lwów, Sykstuska 6.

F. WINCENCIAK, KRAKÓW
GARBARSKA L. 4 (SKLEP)

WYRABIA OBUWIE MĘSKIE I DAMSKIE WEDŁUG FASONU ANGIELSK. I FRANCUSKIEGO.
CENY NISKIE ═══ WYRÓB ZNAKOMITY.
14 -18

NOWOŚCI

Rozpylacze kieszonkowe do perfum,
Perfumy i wodę kolońską na wagę,
Pisanki i farby na jaja,
Farby, lakiery i glazury do podłóg
polecają

Reim i Spółka, Kraków, Rynek 37.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

ZMIANA LOKALU.

Mam zaszczyt zawiadomić Sz. P. T. Publiczność, iż z dniem 1 kwietnia 1905, mój Zakład zegarmistrzowski, znajdujący się dotychczas przy ul. Karmelickiej l. 14, **przeniosłem** pod **l. 6 ul. Karmelicka.**

W. ZAKRZEWSKI.

Antoni Sadowski i Syn
krawiec
Kraków Floryańska 32.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy **podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez**

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

Najtaniej w Krakowie, Grodzka 58

Bogaty wybór **Pierścionków zaręczynowych**
i obrączek ślubnych



Łyżki, łyżeczki, cukiernice i inne wyroby z chińskiego srebra.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling

Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

„ARS"

Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

ZMIANA LOKALU!

HANDEL TOWARÓW BŁAWATNYCH

z ulicy Dietlowskiej L. 66
na Rynek główny 6, I. piętro, do domu WP. Szarskiego (szara kamienica). Handel mój zaopatrzony został na sezon wiosenny i letni w największy wybór **towarów bławatnych i wełnianych.** — Wielka okazya w resztkach jedwabnych, firankach, portyerach, dywanach i t. d.

z wysokiem poważaniem **A. J. Klipper.**

WĘGIERSKA RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami itp. b. tanio.**

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

„FLORA"
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKÓW, PODWALE 13.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW

poleca się P. T. Publiczności.

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.